
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Aleksandra Śmigielska – „*Jak wrócimy do Ojczyzny*”

Wstrząs, którego doznaliśmy całą rodziną wydarzył się 10 lutego 1940 r. w godzinach między czwartą a piątą rano. To było mocne walenie w drzwi i wtargnięcie do domu kilku rosyjskich żołnierzy ubranych w jakieś szarozielone szynele i wojskowe czapki ze szpicami sterczącymi na czubku głowy i czerwoną gwiazdą osadzoną nad daszkiem. Nie wiem jak to się stało, ale widziałam ich i słyszałam, jak jeden z nich odczytał jakiś dokument z rozkazem, że mamy w ciągu pół godziny opuścić nasz dom. Nie podał żadnego powodu tej eksmisji. Miałam wtedy cztery i pół roku i bardzo się bałam. W domu słychać było płacz, nawoływanie, pospieszne pakowanie rzeczy najbardziej potrzebnych. Pamiętam wołanie babci do mamy, żeby zapakowała pierzyny oraz ciepłe rzeczy i ubrania. Do dzisiaj słyszę brzmienie słów babci: „Józia bierz pierzyny aby dzieci nie pozamarzały” – chodziło o mego brata Zbysia i o mnie. Na dworze panował wtedy mróz trzydzieści kilka stopni.

Gdy wychodziliśmy z naszego nowego, jeszcze niewykończonego domu, na dworze już dniało. Przed domem stały zaprzęgnięte do sań nasze konie. Tym zaprzęgiem wieźli nas jacyś ludzie do tymczasowego aresztu. Ja byłam ubrana w kożuszek, a w rękach trzymałam tuląc swoją ukochaną lalkę – był to pajac, którego nazywałam Wacek. Pamiętałam, że miał bardzo długie nogi i czerwoną czapkę z długim opadającym trójkątnym szpicem zakończonym pomponikiem.

W areszcie – pomieszczeniu, w którym nas trzymano przez kilkanaście godzin, panował niesamowity tłok. Stałam między dorosłymi bolały mnie nogi i nie było szans na to by przykucnąć. Mama trzymała na rękach dwuletniego Zbysia. Następny obraz w mojej pamięci, to jazda saniami do stacji kolejowej, prawdopodobnie do Chodaczkowa. Był jasny, mroźny dzień, a za saniami biegł nasz pies Ducek.

Na stacji stał długi skład bydłęcych wagonów wewnątrz wyposażonych po dwóch stronach w półki, na których lokowały się rodziny. Nasza rodzina liczyła dziesięć osób i jak wspomiano po latach na środku oblodzonego wagonu stał żelazny okrągły piecyk, a nieco dalej wycięty był w podłodze otwór, przez który lokatorzy wagonu mieli załatwiać fizjologiczne potrzeby. I tak było – robili to pod osłoną różnych parawanów np. z koca, prześcieradła, chust itp. Czasami pociąg zatrzymywał się niespodziewanie w polu i wtedy konwojenci – uzbrojeni w karabiny pozwalali wyjść kilku osobom z wagonu by tam załatwili swoje potrzeby fizjologiczne. Wprawdzie im dalej przemieszczaliśmy się w głąb, Związku Radzieckiego, tym bardziej żołądki były puste, bo już brakowało jedzenia. Nie wszyscy ludzie zaskoczeni wywózką zdążyli zaopatrzyć się w odpowiedni zapas żywności potrzebnej na tak długą i trudną drogę. W przypadku naszej licznej rodziny zapasy te szybko wyczerpały się.

Ta niespodziewana i pod konwojem podróż do Krasnojarskiego Kraju trwała około półtora miesiąca. Przypominam sobie długie postoje transportu wśród bezkresnych pól pokrytych grubą warstwą śniegu. Babcia często mówiła: „te trzaskające mrozy wykończą nas”. W czasie jazdy pociągu oglądaliśmy przez malutkie okienka i szczeliny wagonu mijane zimowe krajobrazy – obce i jakieś groźne. Następny obraz, który wbił mi się w pamięć, to była jakaś przesiadka w czasie podróży. Widzę obszerny i bardzo wysoki hol i kocujące na podłodze bardzo liczne rodziny otoczone dobytkiem szybko zabranym z domów, z których zostali siłą wypędzeni. Widzę do dzisiaj oczami wyobraźni rozmawiające ze sobą dorosłe osoby, podskakujące dzieci w moim wieku i trochę starsze oraz rodzinę karzełków. Wygląd tych ludzi sprawił mnie w niesamowite dziecięce zdumienie, a to dlatego, że byli tacy mali – tego samego wzrostu co ja, ale mieli dorosłe twarze i dorosły sposób bycia. Poprosiłam mamę, żeby mi wyjaśniła dlaczego Ci ludzie nie wyrosli. Wyjaśnięć mamy dotyczących wzrostu nie zapamiętałam, chociaż odpowiedziała mi na te pytanie.

Przypuszczam, że koczowaliśmy na dworcu kolejowym w Krasnojarsku oczekując na dalszy transport. Nasza męcząca podróż trwała jeszcze długo. Mam też w pamięci mglisty obraz jakieś innej ponurej, ciemniej stacji kolejowej ze stojącymi na torach wagonami towarowymi. Późniejszy obraz to załadunek na sanie o zaprzęgu konnym i dalsza jazda w tajgę szlakiem skutych lodem rzek – Jenisejem i być może Czulumem. Ludzie byli przygnębieni, bali się nieznanego losu. Babcia martwiła się, że łód na rzece może być miejscami cienki i może załamać się, albo że niebawem rzekami zaczniesz płynąć kra. Bojaźń ta udzielała się także mnie. Nie pamiętam, jak długo trwała podróż do miejsca, które nazywano uczestkiem Konzula. Nie pamiętam nic z pobytu w tym miejscu i jakim sposobem znaleźliśmy się w głębokiej tajdze w miejscowości naszego zesłania o nazwie Tiubil położonej nad rzeką o tej samej nazwie. Zapamiętałam natomiast, że niebawem po dotarciu do osady Tiubil zaczęły na rzekach pękać lody i popłynęła kra.

Co działo się z nami po dotarciu w serce tajgi nie pamiętam. Zbyt późno zdecydowałam się do opisu naszego tułaczego losu. Osoby, które mogły być

pomocne w tej pracy już nie żyją. Mama zmarła bardzo młodo 10 lipca 1947 r., dziadzio pożegnał się z tym światem 26 sierpnia 1951 r., babcia odeszła 11 listopada 1974 r., tato w maju 1995 r., ciocia Hela 26 grudnia w 2008 r. a stryjek Gienek 20 lutego 2009 r. Wspomniana osada Tiubil leżąca w kotlinie pomiędzy lesistymi górami i rzeką o bystrym nurcie była docelowym naszym przystankiem. Zostaliśmy zakwaterowani całą rodziną w drewnianym zapluskwionym baraku w pomieszczeniu o małej powierzchni z jednym małym oknem. Było ono wypełnione pryzami, stającymi jedna przy drugiej. Otrzymaliśmy jutowe worki i suchą trawę do ich wypełnienia. Były to nasze materace, czyli sienniki. Na ścianie, do której przylegała nasza prycza mama zawiesiła święty obrazek, do którego klęcząc modliliśmy się z bratem.

Wkrótce po zakwaterowaniu zesłańców w licznych wielorodzinnych barakach zapędzono ludzi do ciężkiej pracy, głównie w tajdze w tzw. „lespramchozie”. Mama wychodziła o świcie razem z innymi ludźmi w głąb tajgi, gdzie pracowała przy ścinaniu piłą olbrzymich cedrów syberyjskich oraz oczyszczaniu ich z gałęzi a potem spławianych rzeką. Stryjek Gienek i wujek Władek pracowali również w tajdze. Ciocia Hela była w ciąży – nie pamiętam czy pracowała, ale chyba tak, bo tam każdy dorosły lub dorastający człowiek musiał pracować. Babcia i dziadzio także pracowali gdzieś w lesie. Ciocia Jańcia jako trzynastolatka dostała zatrudnienie w rodzinie piekarza, jako opiekunka ich małego dziecka.

Barak, w którym zamieszkaliśmy stał w pobliżu rzeki. Do długiego korytarza przylegały z obu dwu stron tzw. kajuty. W nich umieszczano wieloosobowe rodziny. Nie przypominam sobie ich nazwisk oprócz licznej rodziny Szydełków z sąsiedniego pomieszczenia. Pan Szydełko był leśnikiem, pamiętam, że ciężko chorował i wkrótce zmarł. Potem umarł jego ukochany dwu lub trzyletni synek Tadzio, który nie zniósł syberyjskich katorżniczych warunków. Pani Szydełkowa została z pięcioma nieletnimi córkami. Nasze rodziny zaprzyjaźniły się, głównie dzieci. Ja przyjaźniłam się z najmłodszą Stasią urodzoną w 1936 r. oraz z jej starszymi siostrami – Kazią i Zosią. Po Zosi była Matylda – zdrobniale Tyłga, a po niej Leonarda, czyli Leonka urodzona w 1927 r. Z nią zaprzyjaźniła się nasza Jańcia, jej rówieśnica.

Tiubil to był tzw. „lespramchoz” – miejscowość, którą trudno było nazwać wioską. Na jej zabudowę składały się szeregi drewnianych, zapluskwionych baraków, w których zapewne już niejedno pokolenie zesłańców wegetowało. Oprócz baraków stało kilka, a być może kilkanaście drewnianych domów, w których mieszkaly rodziny nadzorców oraz znajdowały się pomieszczenia służbowe, jak kantora, czyli biuro, w którym urzędowali Rosjanie. Poza tym był sklep nazywany „ławoczka” i piekarnia, w której wypiekano chleb dla miejscowej ludności i zesłańców. Zesłańcy otrzymywali „pajki” chleba w zależności od rodzaju zatrudnienia, jednak za małe na przeżycie bez uczucia głodu. Po przydział chleba i czasami rybnej zupy tzw. „uchy” chodziło się do „ławoczki”.

Osiedle było otoczone wysokimi górami porośniętymi gęstymi lasami. Wzdłuż osiedla u podnóża gór wiła się rzeka Tiubil, której głębokość i szerokość, a także nurt zależały od pory roku. Wspominałam już, że wkrótce po naszym przybyciu na Tiubil zaczęła pękać na rzece z wielkim hukiem kra porwana bardzo wartkim nurtem wody, która wystąpiła z brzegów. Rzeka osiągnęła niebezpieczną głębokość. Zesłańcy od świtu pracowali pod nadzorem w taj-

dze po drugiej stronie rzeki. Mama przed wyjściem do pracy upominała mnie żebym nie chodziła nad rzekę, nie oddalała się od baraku i pilnowała Zbysia. Dzieci z baraku organizowały sobie zabawy. Często zbieraliśmy się na końcu korytarza, w pobliżu wyjściowych drzwi i śpiewaliśmy polskie piosenki, które bardzo dobrze znaliśmy. Rosjanki zachwycały się naszym śpiewem. Śpiewaliśmy „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Wojenko, wojenko”, „Wesołe życie marynarza”, „Płynie Wisła”, „Na Podolu biały Kamień” i inne. Często chodziliśmy też nad rzekę, pomimo zakazów ze strony rodziców. Zbieraliśmy ze sobą swoje zabawki. Ja miałam wspomnianego już pajacyka Wacka, który pewnego dnia został porwany przez wartki nurt rzeki z moich słabych rąk i popłynął. Bardzo rozpaczalam po jego stracie. Jańcia pocieszała mnie obiecując, że uszyje mi piękną lalkę.

Mama, wujek Władek i stryj Gienek wychodzili do pracy w tajdze bardzo wczesnie rano, a wracali wieczorem, gdy zapadał zmrok. O tej porze obydwój z bratem znajdowaliśmy się przeważnie już na pryczy przygotowani do spania. Zapamiętałam jej widok po powrocie z pracy ubraną w spodnie pikowane wata i tak samo pikowaną kufajkę, bardzo zmęczoną, ale pogodną i uśmiechającą się do nas „a zarazem szczęśliwą, że widzi nas całych i zdrowych. Pierwsze pytanie, jakie do nas wówczas kierowała brzmiało: „czy zmówiliśmy paciorek”? Nie zawsze obowiązek modlitwy był spełniony, więc wtedy trochę ociągając się klękaliśmy z bratem składając ręce do pacierza i odmawialiśmy razem z mamą „Ojczy nasz”, „Zdrowaś Mario”, „Wierzę w Boga Ojca” i „Dziesięć Przykazań”. Na zakończenie prosiliśmy Pana Boga o opiekę nad nami. Modliliśmy się również za Ojczyznę i za szczęśliwy powrót taty do domu, – o jego losie nic nie wiedzieliśmy. Mama po takiej modlitwie, często siadała na skraju pryczy i opowiadała nam różne legendy przeważnie o treściach religijnych i patriotycznych. Najlepiej zapamiętałam te o św. Kindze, św. Genowefie, o Wandzie, która Niemca nie chciała oraz o Piaście Kołodzieju a także różne bajki.

Po przydział chleba dla naszej rodziny i rzadką zupę rybną tzw. uchę chodziła do „ławoczki” Jańcia. Babcia zaś dzieliła go na porcje, tak aby starczyło dla całej rodziny. Ponieważ panował głód, więc zaczęła się wyprzedaż, a raczej wymiana za żywność rzeczy, przeważnie ubrań, które w pośpiechu zdążyliśmy zabrać z Polski. W pierwszej kolejności poszedł na wymianę mój piękny strój krakowski, który składał się z czerwonej wzorzystej spódniczki, haftowanej białej bluzeczki, welurowego gorsetu z pięknymi naszytami z cekinów i przyczepionymi do prawego ramienia pękiem kolorowych długich wstążek, fartuszek z naszytymi w poprzek kolorowymi tasiemkami i pięknego wianka. Bardzo płakałam po stracie tego stroju. Mama tłumaczyła mi, że za ten strój będziemy mieli mleko. Przez pewien czas rzeczywiście dostawaliśmy z bratem rano po kilka łyków pysznego mleka.

Pamiętam, że wiosną, a może to było lato, przyszła z Polski paczka żywnościowa, ale po jej odbiór trzeba było pójść na pocztę, która znajdowała się daleko poza obrębem zesłańczego osiedla, którego granic nie wolno nam było przekraczać. Mama mimo wszystko złamała zakaz i poszła po paczkę. Za to wykroczenie była sądzona i skazana na „turmę”. Nie pamiętam ile trwało to więzienie, ale wiem, że w czasie odbywania kary pracowała w tajdze przy karczowaniu mocno tkwiących w ziemi pni wyciętych wcześniej grubych drzew. To była bardzo ciężka praca, jak na jej możliwości fizyczne. Po powrocie

z więzienia ciężko zachorowała. Pamiętam, że do zrobionej przez dziadzia drewnianej balii babcia wkładała różne zioła zebrane w tajdze, wlewała dużo wody i wkładała gorący kamień. Do tak przygotowanej kąpieli wchodziła mama i siedząc w niej była przykryta dużą lnianą płachtą. Płachtą nazywaliśmy duży, kwadratowy, gruby kawałek lnianego płótna zabrany z Polski.

Babcia Anna dzięki swoim „medycznym” talentom pomogła wielu osobom. Mama zaś dzięki zastosowanej kuracji odzyskała po pewnym czasie zdrowie, ale niebawem po wznowieniu ciężkiej pracy w tajdze dotknęła ją nowa dolegliwość tzw. kurza ślepotą, czyli choroba oczu spowodowana brakiem witaminy A. Powodowało to niezdolność widzenia po zachodzie słońca. Również inne osoby zachorowały na to samo w tiubilskim posiołku. Zmusiło to władze do zorganizowania polowania na niedźwiedzia w celu pozyskania jego wątroby, jako bardzo skutecznego leku na tę chorobę. Przypomniałam sobie, że otrzymaliśmy spory kawałek tego mięsa i że babcia długo gotowała go zanim uzyskała odpowiednią miękkość. Wydaje mi się, że to gotowanie trwało kilka dni. Okazało się, że mama spożywając przez pewien czas po kawałku tej wątroby odzyskała normalne widzenie.

Latem gotowanie potraw z grzybów i innych darów natury odbywało się na zewnątrz baraku, na żelaznym piecyku. Jak było w okresie zimy, nie pamiętam. W gruncie rzeczy gotowanie było raczej rzadkością, ponieważ ludzie nie mieli na to żadnych produktów. Wyjątek stanowiła pora roku, gdy w lasach pojawiły się grzyby, szczaw, lebioda czy młoda pokrzywa. Pewnego razu dziadzio Antoni sam wybrał się do tajgi na grzyby i zabłądził. Rodzina i znajomi rozpoczęli bezskuteczne poszukiwania. Panowało zmartwienie i smutek. Istniała obawa, że został napadnięty przez dzikie zwierzęta, których w tajdze nie brakowało. Najgroźniejsze były niedźwiedzie. Takie podejrzania były uzasadnione, ponieważ już były ofiary wskutek napadu przez zwierzęta. Tajga, to bezkresne lasy, w których ludzie łatwo tracili orientację i ginęli. Po stwierdzeniu zaginięcia jakiejś osoby, organizowano specjalne ekipy poszukiwawcze i niekiedy odnajdowano ludzi żywych, a bywało, że martwych. Dziadzia nie odnaleziono pomimo poszukiwań. Bardzo cierpieliśmy i modliliśmy się wraz z sąsiadami o jego szczęśliwy powrót.

Pewnego dnia wrócił sam wycieńczony i załamany. Gdy stanął na progu naszej kajuty rozplakał się, a potem uklęknął i ucałował ten próg. Radość nasza i dziękczynienie Panu Bogu były wielkie. Dziadzio był człowiekiem pobożnym, dużo modlił się i czytał – bardzo cenił książki. Na Syberii posiadaliśmy Biblię i niektóre dzieła Sienkiewicza i poezje Mickiewicza. Dzięki tym książkom nauczyłam się czytać po polsku. Zaslugą dziadzia było, że w trakcie bardzo krótkiego czasu wypędzania nas z rodzinnego domu, nie zapomniał o zabraniu Biblii, niektórych książek, modlitewnika i różańca. Po szczęśliwym i niemal cudownym powrocie z tajgi dziadzio opowiedział nam, że „czepił się go błąd”, co oznaczało, że po długiej wędrówce po tajdze wracał w to miejsce, z którego uprzednio wyszedł. Ale widocznie dzięki gorliwym modlitwom do Pana Boga Anioł Stróż poprowadził go we właściwym kierunku, dodając sił znękanemu głodem i zmęczeniem ciału. Wspominałam już, że podczas gdy dorośli wychodzili do ciężkiej pracy w tajdze, dzieci zostawały same bez opieki i musiały sobie jakoś radzić. Mnie, w czasie tej nieobecności rodziny przydarzył się przykry wypadek. Przypuszczam, że wskutek niedożywienia, a właściwie głodu i być może z innych przyczyn zachorowałam. Czułam nieustającą senność, osłabienie i pragnienie. Dzięki przestrogom mamy wiedziałam, że nie wolno pić, czerpanej z rzeki surowej wody, że należy ją przegotować. Wspominałam już,

że przed barakiem stał żeliwny piecyk, w którym bez przerwy tlił się ogień dzięki podkładanym polanom drewna i właśnie na tym piecyku gotowałam wodę do picia. Pewnego razu niosąc wrzątek w garnuszku do baraku straciłam równowagę w wyniku osłabienia i zawrotu głowy przy pokonywaniu dosyć wysokich i stromych schodów. Upadłam a wrzątek oblał mi twarz i straciłam przytomność. Bawiące się przed barakiem dzieci zauważyły to i pobiegły do piekarni po Janię prosząc o pomoc. Informacja doszła również do dziadzia, który szybko pojawił się i zaczął robić okłady na mocno poparzoną twarz. To zdarzenie miało miejsce latem 1940 r. Na szczęście twarz wygoiła się, dzięki zabiegom dziadzia i babci. Tego lata ciocia Hela urodziła synka, jednak dzieciątko wkrótce po przyjściu na świat zmarło ku wielkiej rozpaczy jego mamy i całej naszej rodziny. Chłopczyk przed śmiercią został ochrzczony z wody. Nie pamiętam jakie imię mu dano.

Dorośli zesłańcy wykonywali bardzo ciężką pracę w tajdze ścinając wielkie drzewa sosny sybirskiej, którą tubylcy nazywali cedrem („kiedr”). Po ścięciu pnie drzew były oczyszczane z gałęzi, a następnie spychane ze stromych górskich zboczy na brzeg rzeki. Potem na rzece spinano je w tratwy, które odpływały niesione silnym nurtem wody. Mama, wychodząc do pracy w porze letniej, zakładała na głowę specjalną siatkę, która chroniła głównie twarz przed atakiem drobnej, bardzo agresywnej muszki powodującej bolesne obrzęki ciała. Mama przynosiła z tajgi cedrowe szyszki wypełnione pomiędzy łuskami bardzo smacznymi orzeszkami. Cieszyła się, że te orzeszki tak bardzo smakują Zbysiovi i mnie. W dzień, podczas nieobecności rodziców i krewnych, dzieci radziły sobie same, organizowały różne zabawy albo wycieczki brzegiem rzeki zarosniętym krzewami porzeczeki czerwonej i czarnej nazywanej przez tubylców „smarodina”. Bardzo nam smakowały owoce tych dziko rosnących krzewów. Pamiętam również rosnące wzdłuż brzegu rzeki pięknie kwitnące piwonie, ich duże czerwone, a właściwie pąsowe kwiaty zachwycały swą urodą. Od starszych od nas, miejscowych dzieci nauczyłam się z czerwonych jagódek tych roślin robić korale. Nie pamiętam na co nanizaliśmy te jagody, pewnie na lniane nici, bo innych tutaj nie było. Nauczyłam się także z liści wykonywać spódniczki, a z dziko rosnących kwiatów wic wianki. Małe dziewczynki, przeważnie pięcioletki – moje rówieśnice – wyglądały w tych strojach, jak leśne boginki. Jakaś dorosła osoba tak nas określiła. Pewnego razu duża grupa dzieci w różnym wieku, ale przeważnie starszych ode mnie, urządziła wyprawę na drugą stronę rzeki. Przejście było możliwe dzięki wąskiej kładce. Celem wyprawy było w grzybobranie w pobliskim lesie. Weszliśmy gromadką w głąb lasu i nie pamiętam właściwie nic poza czyimś zawołaniem „uciekajmy – niedźwiedź”! Podniosłam głowę szukając spojrzeniem z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Zobaczyłam w dość dużym oddaleniu olbrzymie ciemne zwierzę. Zrobiło mi się słabo, zaczęłam całą drzeć ze strachu i rzuciłam się do ucieczki za większymi i silniejszymi ode mnie dziećmi. Byłam przerażona rosnącym dystansem między mną a uciekającą grupą. Dopiero na kładce poczułam się bezpiecznie. Nigdy nie przyznałam się mamie do tej eskapady, bałam się, że ją rozgniewam i czułam się wielce nie w porządku wobec niej i mojego trzyletniego brata Zbysia, którym miałam się opiekować, a ja nawet nie wiedziałam co się z nim działo w czasie mojej nieobecności.

We wspomnieniach z tamtych czasów widzę dziadzia, jak wykonywał beczki, wiadra, i cebrzyki z drewnianych klepek oraz wiklinowych obręczy. Lubiłam przyglądać się struganiu klepek, i wyginaniu obręczy do odpowiedniej

średnicy oraz mocowaniu silnych wiązań. Nie lubiliśmy natomiast ze Zbysiem trzymania tych obręczy nad denkiem przy układaniu przez dziadzia klepek. Przy tej pracy drętwiały nam aż do bólu ręce i bywało tak, że cała układanka z klepek rozsypywała się, bo nasze ręce były małe, słabe i niewytrzymałe. Pomagałam również dziadziowi w „sukaniu” sznurków z lnianego włókna, ale nie pamiętałam do czego służyły. Poza stolarką dziadzio wpadł na pomysł zagospodarowania płachetka ziemi w pobliżu rzeki. Uznał, że na tej żyznej glebie, którą nazywał madą będą wspaniale rosły warzywa. Prawdopodobnie musiał uzyskać zgodę naczalstwa „Lespramchozu” na założenie ogrodu, a być może postanowił działać bez zezwolenia, wszak był człowiekiem niepokornym i nie lubił kłaniać się władzy, zwłaszcza bolszewickiej. Pracę rozpoczął od ogrodzenia upatrzonego kawałka gruntu używając do tego celu żerdzi i prętów wikliny, które wplatał w specjalnie wykonane z drewna rusztowanie. Wydaje mi się, że te prace wykonał w okresie jesiennym 1940 r. łącznie z przygotowaniem gleby, żeby jak najwcześniej, tj. wiosną następnego roku wysiać nasiona.

Lato na Syberii było krótkie. Zima mroźna i groźna zawitała nagle. Dokuczalo nam zimno, ciasnota w kajucie, pluskwy gnieźdzące się w szczelinach drewnianego baraku, a nade wszystko głód. Dostawaliśmy ze Zbysiem po kawałeczku chleba, który jedliśmy bardzo oszczędnie chowając na później zaoszczędzone kęsy. Ciężka praca i brak żywności spowodowały, że mama często chorowała, miała wtedy tylko 27 lat. Niewiele pamiętam z przeżywania zimy 1940/41 r. oprócz pogłębiającej się nędzy i stopniowej utraty nadziei na zmianę naszego losu na lepszy.

Władze bolszewickie odkryły, że Bolek nie jest dzieckiem, lecz bratanikiem mamy i uznały go za „bezprizornego” i pozbawiły ją opieki nad nim. Tym sposobem Bolka odebrano naszej rodzinie i umieszczono w rosyjskim sierocińcu. Mama i cała nasza rodzina bardzo to przeżyła. Bolka wywieziono z Tiubilu i jego dalsze losy nie były nam znane. Po latach spotkałam go przypadkowo w 1953 roku. we Wrocławiu w kinie „Pokój” po seansie jakiegoś filmu. Był studentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Wrocławskiej, a ja byłam wówczas studentką pierwszego roku Wyższej Szkoły Rolniczej. Gdy po skończeniu filmu zabłysło światło na widowni i widzowie zaczęli wychodzić, zauważyłam wśród nich znajomą twarz. Powiedziałam do koleżanki: „Tereniu zobacz ten student w białej akademickiej czapce jest bardzo podobny do mojego wujecznego brata, o którym Ci opowiadałam. Podejdę do niego i zapytam, czy nazywa się Bolek Samek” I tak zrobiłam – okazało się, że to naprawdę był on. To spotkanie było dla nas wielką radością.

Inne zdarzenie, które boleśnie zapadło w moją dziecięcą pamięć i serce, to była rozpacz mojej mamy po otrzymaniu listu z PCK, który był odpowiedzią na poszukiwania jej męża a mojego taty przez Polski Czerwony Krzyż. W liście tym napisano, że żyje Leon Czuchnicki, ale okazało się że to nie był syn Antoniego, lecz Piotra, czyli stryjeczny brat mojego ojca. Mamę ogarnął strach, że tato nie żyje, a jednocześnie wyrzuty sumienia, że nie jest w stanie cieszyć się z odnalezienia jego stryjecznego brata. Nie potrafiła pogodzić rozczarowania z okazywaniem radości. Mama przez wszystkie lata wojennej gehenny i zniewolenia starała się na różne sposoby odnaleźć męża, wierzyła, że żyje i do nas wróci. Jej ból był również moim wielkim bólem. Przy każdym pacierzu modliliśmy się wspólnie o zachowanie życia tak bliskiej i drogiej nam osoby.

Gdy nadeszła wiosna 1941r. nastąpiło tajanie śniegu, na rzece zaczął pękać lód z wielkim łoskotem, popłynęły wielkie płyty kry, a potem z rzeki wy-

stąpiły wody, szeroko poza jej normalne koryto. Oznaczało to koniec zimy i w ludzi zaczęła wstępować jakaś nieśmiała nadzieja na lepsze czasy. Na rozlewisku rzeki utworzyła się wysepka, na której stał domek, zamieszkały przez polską rodzinę Szczypuchów. Mieli problem z przedostaniem się na brzeg, ratowała ich mała łódka. Po pewnym czasie woda w rzece popłynęła normalnym korytem, a nasz dziadzio Antoni rozpoczął zagospodarowywać ogród w miejscu w dużym stopniu przygotowywanym już jesienią. Do dnia dzisiejszego „zachodzę w głowę” skąd wziął nasiona rozmaitych warzyw. Przypuszczam, że mógł je kupić od miejscowej ludności, albo otrzymać jakąś przesyłką z Polski. Czas pokazał, że ogrodnicze dzieło dziadzia było bardzo udane, warzywa rosły „jak na drożdżach”. Przypominam sobie sytuację, której jako dziecko już prawie sześćdziesiąt lat byłem świadkiem. Otóż dziadzio idąc w stronę rzeki „nakrył” Szczypuchę na kradzieży pięknej głowy kapusty z naszego ogrodu. Doszło do kłótni, dziadzio nazwał go złodziejem, po czym tenże wykrzyczał dziadziowi w twarz, że żyjemy w komunizmie i „co wasze Czuchnicki to i moje”. Na to dziadzio zawołał „ja Ci bolszewiku wybiję z głowy ten komunizm kosturem”, to jest solidnym, dużym kijem, który akurat trzymał w ręku.

Pod koniec lata i wczesną jesienią kobiety z naszej rodziny zaczęły stopniowo zbierać dary ziemi z dziadziowego ogrodu i konserwować je na czas przyszłej zimy. Kapusta i liście buraków były kwaszone w beczkach zrobionych przez dziadzia. Babcia, mama i ciocia Hela cieszyły się, że dzięki tym zapasom będzie nam lżej przeżyć przyszłą zimę. Nikt nie przewidywał, że nastąpią zmiany w naszym zesłańczym bytowaniu. W 1941r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, powstał nowy układ polityczny. Pod wpływem polityki Wielkiej Brytanii, Związek Radziecki został włączony do obozu antyhitlerowskiego. Generał Władysław Sikorski nawiązał z ZSRR stosunki dyplomatyczne – 14 sierpnia 1941 r. i w Londynie został podpisany układ Sikorski–Majski, dzięki czemu częściowo uwolniono z sowieckich łagrów i więzień Polaków nazywając ten fakt amnestią. Wielu uwolnionych wówczas wstąpiło do Armii Polskiej utworzonej przez generała Władysława Andersa. Mój tato będąc rosyjskim jeńcem wojennym wstąpił więc do tworzącego się w ZSRR wojska polskiego. Wówczas o jego losie nic nie wiedzieliśmy. Do Polaków znajdujących się w syberyjskich bezdrożach takie wydarzenia dochodziły z wielkim opóźnieniem. Do Tibilu docierała niesamowita propaganda na temat zwycięskich zmagania wojennych Armii Czerwonej z Niemcami. Zmęczonych ciężką pracą ludzi zmuszano późną porą do oglądania filmów tego typu. Zmuszano nie tylko osoby dorosłe, ale również dzieci. Pamiętam, że uczestniczyłam w towarzystwie mamy w jakimś wojennym seansie filmowym i bardzo cierpiełam przejęta tym, co się działo na wojnie.

Jesienią 1941 r. uwolnieni spod nadzoru NKWD polscy zesłańcy rozpoczęli wędrówkę w poszukiwaniu lepszego bytu. Część mojej rodziny, także mama ze Zbysiem opuściła Tiubil i popłynęła tratwą mając nadzieję znalezienia lepszego miejsca na przetrwanie. Dziadzio natomiast powędrował przez tajgę wydeptanymi ścieżkami i znalazł jakąś miejscowość odległą od Tiubilu o jeden dzień wędrówki. W opuszczonym baraku zostało jeszcze parę osób, między innymi babcia, Jańcia i ja. Jakiś czas później powędrowaliśmy obie z babcią szlakiem dziadzia, a Jańcia została tymczasem w Tiubilu u piekarza. Dołączyła do nas trochę później w towarzystwie polskich kobiet. Moja wędrówka z babcią przez tajgę trwała cały dzień. Wyszliśmy o świcie, a do dziadzia dotarliśmy

wieczorem. Babcia niosła płachtę zarzuconą na plecy, w której znajdował się żeliwny garnek do gotowania i jakieś inne rzeczy, a ja szłam obok. Miałam wprawdzie już sześć lat, ale ta wędrówka męczyła mnie i wtedy siadałam na garnku schowanym w płachcie i tak babcia mnie niosła z całym „dobytkiem” na plecach. Tę wędrówkę przez tajgę dobrze pamiętam, bałam się napaści niedźwiedzia lub innego dzikiego zwierzęcia. Babcia co pewien czas musiała odpocząć i wtedy siadałyśmy na rudawy mech lub opadłe liście i igliwie. W tajdze panowała cisza, ale na pewnym etapie naszej wędrówki w czasie odpoczynku zasnęłam. Nagle obudził mnie jakiś łomot w zaroślach, przeraziłam się myśląc, że to niedźwiedź. Zaczęłam płakać i drżeć ze strachu. Babcia uspokoiła mnie mówiąc, że to tylko ptak – kuropatwa narobiła tyle hałasu.

Zapadał gęsty zmrok, ochłodziło się, gdy w pewnej chwili zobaczyłyśmy człowieka idącego w naszym kierunku. Okazało się, że to dziadzio wyszedł nam na spotkanie. Bardzo się wzruszył na nasz widok. Zaprowadził nas do małej pustej drewnianej „izbuszki” stojącej na końcu (lub początku) wioski i powiedział, że w tym kołchozie zatrudniono go jako pszczelarza. W tajdze istnieją szlaki wydeptane przez ludzi i zwierzęta pociągowe.

Cały czas zastanawiałam się skąd babcia wiedziała którą drogą trzeba iść żeby nie zbłądzić w tych bezkresnych leśnych przestrzeniach. Nie zapamiętałam nazwy miejscowości, w której dziadzio znalazł pracę jako wolny człowiek. Długo tam nie popasaliśmy ponieważ wkrótce z innego kołchozu zaproponowano dziadziowi pracę pszczelarza na znacznie lepszych warunkach. Nie pamiętam szczegółów przeprowadzki, ale zapamiętałam, że nowa miejscowość nazywała się Riezanka. Zamieszkaliśmy w „izbuszce” tubylczej rodziny o nazwisku Żdanow. Ich domek był typowy dla tych stron – drewniany, jego wnętrze stanowiła sień i dość duża izba z jednym oknem. W izbie stał duży piec chlebowy, na którym sypiał Wania, najstarszy syn Żdanowej, przykrywając się zawieszoną obszerną „szubą”. Wania był chory umysłowo. Żdanowa była wciąż poza domem, ciężko pracowała, a mąż prawdopodobnie poszedł na wojnę. Oprócz Wani miała córki – Niurkę normalną i miłą dziewczynę oraz Nastię również niepełnosprawną umysłowo. Nie pamiętam, czy u tej rodziny mieliśmy jakiś własny kąt, prawdopodobnie spaliśmy na podłodze.

Wczesnym rankiem wszyscy szli do pracy w kołchozie oprócz Wani, którego bardzo się bałam. Bywało, że był nieraz bardzo niespokojny, z obłędem w oczach. W przypływie strachu siadałam przy otwartym oknie upatrując w tej sytuacji możliwość ucieczki w razie szaleństwa Wani. Babcia i dziadzio ciężko pracowali w kołchozie od świtu do nocy i pewnie martwili się tym, że byli zmuszeni zostawić mnie z szaleńcem. A ja rzeczywiście pewnego dnia w przypływie strachu przed rozsierdzonym Wanią wyskoczyłam przez okno i błąkałam się po zaroślach w pobliżu domu Żdanowych. Pewnego dnia przyszła do nas Jania. Była ledwie żywa ze zmęczenia po pieszej wędrówce w towarzystwie starszych i silniejszych kobiet z Tiubilu do Riezanki – miała wtedy czternaście lat. Nie wiadomo jakiego argumentu użyli moi dziadkowie, że udało się im przekonać władze kołchozowe, aby nam przydzielono inne, lepsze warunki mieszkaniowe. Zamieszkaliśmy w domu Baby Juni. Mówiono o niej we wsi, że jest czarownicą. Mieszkała sama w dużej izbie o dwóch oknach zaopatrzonych w pięknie rzeźbione okiennice. Z małego podwórka wchodziło się po schodach na ganek, a z niego do sieni ze spiżarką. W izbie znajdował się duży piec chlebowy, od którego wzdłuż izby była wbudowana ścianka działowa. Za przepierzeniem znaj-

dował się kącik kuchenny i łóżko Baby Juni. Była ona lepiej usytuowana materialnie w porównaniu z innymi mieszkańcami wioski. Być może miała przyznaną jakąś rentę z powodu poległych na wojnie synów, nieżyjącego męża i podeszły wiek. W jej domu panował porządek i czystość. My całą rodziną spaliliśmy na siennikach rozkładanych na podłodze.

W kąciku kuchennym przy piecu stały kociuby, łopatki, miotełki o długich trzonkach, patelnia oraz słomiane koszyki do formowania i wyrastania w nich bochenków chleba. Babci, dziadzia i Jani nie widywałam całymi dniami, ponieważ pracowali, a ja przebywałam z Babą Junią, bojąc się jej czarów. Dla bezpieczeństwa siedziałam w kucki w kącie na ścierpniętych nogach. Ten kąt dawał mi poczucie bezpieczeństwa i stąd obserwowałam pieczenie blinów w piecu chlebowym i inne czynności Baby Juni. Bliny piekła w ten sposób, że na rozgrzaną w piecu patelnię wlewała ciasto naleśnikowe, następnie szybkim ruchem, posługując się kociubą wsadzała patelnię do pieca, po czym wyjmowała na zewnątrz podpieczony z jednej strony blin, podrzucała patelnię w taki sposób, że blin się odwracał na drugą stronę i po wpadnięciu do patelni, znowu lądował w piecu. Gorące bliny smarowała masłem, co nadawało im bardzo smakowity wygląd. Patrzyłam na te bliny z wielkim łakomstwem, bo przeważnie byłam głodna, ale nie przyjełam poczęstunku pomimo szczerzej zachęty od Baby Juni: „Szuroczka wazmi blinoczka, oczeń wkusnyj”. Smak blinów poznałam później, gdy się oswoiłam z osobą Baby Juni. Jej kuchnia była zasobna w żywność – miała własną krowę i hodowała świnki.

Jako sześciolatka przebywałam przeważnie wśród obcych tubylców, bo bacia, dziadek i Jańcia pracowali całymi dniami i być może ta samotność, lęki, poczucie zagrożenia, tęsknota za mamą wyostrzyły we mnie zdolność obserwacji otaczającego świata i zapamiętywania różnych zdarzeń. Część rodziny, która odpłynęła z Tiubilu tratwą znalazła zatrudnienie w jakimś kolchozie położonym daleko od Riezanki. Zesłańcy trzymali się razem nie tylko z własnymi rodzinami, ale przeważnie grupami rodzin. Mama z czteroletnim Zbysiem, ciocia Hela, wujek Władek, stryjek Gienek byli oddaleni od nas o kilkadziesiąt kilometrów. Nie widywaliśmy się, a ja tak bardzo za nimi tęskniłam. U Baby Juni mieszkało się nam dobrze. Przypominam sobie, że po długiej złotej jesieni przyszła bardzo mroźna zima. Okna pokryły się grubą warstwą lodowych kryształków ułożonych w piękne wzory przypominające liście paproci. Dziadzio z babcią musieli przenieść się do pracy poza Riezankę na tak zwany „Sachalin” – miejsce zimowania pasieki i młodych koni, które dziadzio nazywał łozakami. Oni tam opiekowali się właśnie tym kolchozowym dobytkiem. W Riezance u Baby Juni bywali rzadko. Janka i ja mieszkaliśmy nadal u niej. Jańcię bardzo bolały zęby, miała spuchniętą twarz. Baba Junia przy jakiejś kwadrze księżyca użyła swych czarodziejskich mocy i „zamówiła” ten bolący ząb. Okazało się, że „czary” były skuteczne, bo ból zęba i obrzęk twarzy rzeczywiście ustąpiły. Ja w czasie mrozów nie wychodziłam z domu, nie miałam odpowiedniego ubrania i obuwia. Siedziałam przy zamrożonym oknie, wyskrobywałam i wydmuchiwałam przezroczysty krążek na szybie, przez który podziwiałam uroki zimy. Jańcia, jako czternastolatka miała również obowiązek pracy i w domu bywała tylko wieczorami. A ja bardzo tęskniłam za rodziną, było mi smutno, nie miałam zabawek i często wracałam myślami do utraconego, ulubionego pajaca Wacka. Do Jańci przychodziła dosyć często koleżanka, której imienia nie pamiętam. Obie postanowiły uszyć dla mnie lalkę ze skrawków szmatek. Lalka była piękna, wypchana trocinami, miała lniane zło-

ciste warkocze i piękne rysy twarzy wymalowane jakimiś farbami. Stała się dla mnie wielką radością i towarzyszką mojej dziecięcej samotności.

Jeszcze tej samej zimy zamieszkałam z babcią i dziadziem na „Sachalinie” w małym drewnianym domku o jednej izbie, w której znajdowało się kilka przy- czy, duży drewniany stół otoczony ławkami i żelazny piecyk. W piecyku płonął nieustająco ogień. Suchego drewna nie brakowało w tajdze. Pamiętam, jak babcia upominała dziadzia: „Bój się Boga nie hajcuj tak w tym piecu, jeszcze nie daj Boże zapali się sadza w kominie i dojdzie do pożaru”. Na tym „sachalińskim” pustkowiu babcia bała się bardzo pożaru, zgłodniałych wilków i „bradiagów”. Bradiagi to uciekinierzy z więzień i łagrów, którzy kryli się w tajdze i podobno wielu z nich było zdolnych do agresji, a nawet zbrodni. Obawy babci były zrozumiałe, przecież na tym „Sachalinie” oprócz nas ukrytych w izbuszce, stajni dla młodych koni (łoszaków) i pasieki nie było żadnych żywych stworzeń. Dziadzio co pewien czas jeździł saniami do Riezanki po jakiś niewielki przydział prowiantu i paszy dla zwierząt, wtedy babcia modliła się o jego szczęśliwy powrót. Była świadoma tych wielkich niebezpieczeństw grożących człowiekowi w takiej głuszy. Wyczuwałam jej lęki, które i mnie udzielały się bardzo mocno. Pewnego razu w czasie wyprawy dziadzia do Riezanki spadł bardzo obfity śnieg, potworzyły się zaspasy wskutek silnej zawiei, znikły przetarte szlaki. Dziadzio miał bardzo utrudniony powrót na Sachalin i dotarł na miejsce z dużym opóźnieniem. Był bardzo zmarznięty, na jego wąsach wisiały sopele lodu. Wrócił głodny i jednocześnie szczęśliwy, że nie zbłądził w tej zawierusze i ciemności.

Wraz z nadchodzącą wiosną świat stawał się radośniejszy. Na Sachalinie pojawiła się Jańcia i została z nami. Słońce wysyłało coraz cieplejsze promienie, na dachu pojawiły się długie sopele lodu, pomału tajał śnieg. Pewnego dnia przywędrowały do nas kochane osoby, to była mama i ciocia Hela. Pobyt ich był krótki i pamiętam, że nie mogły mnie wziąć ze sobą, nic nie pomogły moje lamentsy i płacze. Czułam, że w naszym życiu nastąpi jakaś zmiana, jakieś nowe wędrowanie. I nastąpiła, ale ja niewiele z tego pamiętam. Mam zarejestrowane pewne obrazy widziane dziecięcymi oczami w dziecięcej głowie. Była to wędrówka z babcią przez tajgę jakimiś wydeptanymi przez ludzi szlakami. Widzę, jak na śródleśnej polanie spotykamy dziadzia Antoniego. Polana zalana słońcem, zielona, słyszę brzęczące owady i czuję powiew lekkiego wiatru. Jakiś drewniany budynek, a przed nim stojący stół, którego blat oparty był na skrzyżowanych nogach oraz leżące przy nim ociosane grube belki służące do siedzenia. Do dnia dzisiejszego czuję to wielkie zmęczenie i błogą senność. W miejscu, do którego dotarliśmy z babcią oprócz dziadzia były młode uśmiechnięte kobiety, które częstowały mnie potrawą o nazwie kisiel zrobiony z owsa i napojem nazywanym „braszką”. Przypuszczam, że w tym miejscu znajdowała się pasieka i pewnie dziadzio tam pracował. Zupełnie nie pamiętam rozstania z Sachalinem, Riezanką i Babą Junią. Nie wiem też dlaczego ten króciutki fragment mego życia tak wyraziście wbił mi się w pamięć. Potem następuje luka pamięciowa. Następne obrazy, które zaszyfrowałam w pamięci mają związek z wioską o nazwie Jakuszowa. To był kołchoz, w którym zatrudnienie znalazła prawie cała nasz rodzina i kilka innych polskich rodzin, z którymi wywędrowaliśmy z Tiubilu i staraliśmy się trzymać razem, albo w pobliżu siebie. Rodziny zesłańców kwaterowano prawie zawsze u rodzin rosyjskich, zwłaszcza u tych, które miały większe mieszkania.

W Jakuszowej zamieszkaliśmy u „chazajki” Morozowej w dość dużym drewnianym budynku. Gospodyni Morozowa nie należała do miłych osób, wyglądała raczej groźnie. Bałam się jej, a zarazem podziwiałam za ład i ładny wystrój izb, w których samotnie mieszkała. Podziwiałam pięknie załane łóżko z piramidą poduszek i poduszeczek ułożonych na koronkowej kapie oraz zawieszony nad nim kolorowy samodziałowy kilim. Obok na ścianie wisiały instrumenty muzyczne – bałałajka, mandolina i gitara. Nikt na nich nie grał, ponieważ właściciele tych instrumentów zostali powołani na wojnę – mąż Morozowej i dwóch synów. Prawdopodobnie już gdzieś kiedyś słyszałam brzmienie tych instrumentów. Podczas nieobecności „chazajki” uchylałam z naszej izby drzwi na pokój gospodyni marząc o dotknięciu strun któregoś z tych instrumentów. Miałam w uszach zaczarowany świat muzyki. W naszej rodzinie śpiewało się dużo – indywidualnie, jak np. śpiewanie mamy albo wspólnie „na głosy”. W Tiubilu moja mama, ciocia Hela i zaprzyjaźnione Polki, które zbierały się u nas, każda ze swoją kądzielą i przędąc śpiewały: „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Na Podolu biały kamień” i wiele innych. Zapamiętałam fragment piosenki „siedzi ona przy małym stoliku białe orły wyszywa...”. Pewnego dnia, podczas nieobecności Morozowej w domu, zakradłam się do jej pokoju i dotykałam strun wiszącej na ścianie bałałajki ogarnięta strachem, że mnie na tym przyłapie.

Z moich obliczeń wynika, że w Jakuszowej przeżyliśmy około dwóch lat. Pewne zdarzenia mają związek z przeżytą mroźną zimą w domu Morozowej i głodzie wśród Polaków. Ludzie, którzy pracowali przy zbiorach kołchozowego zboża przynosili do domu nabrane ukradkiem do obuwia ziarno i tym się żywili. U nas w rodzinie również brakowało żywności. Pamiętam, jak w czasie późnej jesieni babcia ukradkiem przyniosła buraki cukrowe. Część z nich upiekła, a z pozostałych zrobiła syrop – to był rarytas dla mnie i mojego brata. Przez całą zimę bardzo głodowaliśmy, a gdy nadeszła wiosna głód jeszcze bardziej dawał się we znaki. Pewnego wiosennego dnia Morozowa zaproponowała mojej mamie skopanie ogrodu w zamian za mleko (Morozowa posiadała krowę). Mama kopiąc ten ogród wyjmowała z ziemi korzenie różnych chwastów, a my ze Zbysiem, jako osoby towarzyszące mamie i bardzo głodne, dobraliśmy się do tych korzeni i po oczyszczeniu z ziemi tych, które były słodkie sporo ich zjedliśmy. Wkrótce okazało się, że najedliśmy się trujących korzeni blekotu i niewiele brakowało a stracilibyśmy życie. Straciliśmy obydwój z bratem przytomność i bardzo majaczyliśmy, rozpacz mamy była nie do opisanego. Jakiś chłopiec Polak pobiegł na kołchozowe pole, żeby zawiadomić o wypadku babcię i dziadzia. Dziadkowie, Morozowa i inne osoby zajęły się ratowaniem naszego życia sposobami znanymi ludziom prostym, ale z natury mądrym. Dochodziliśmy długo do sił, ale wyzdrowieliśmy.

Nie wiem z jakich powodów wyprowadziliśmy się z domu Morozowej do domu Tatiany. Był to dość duży drewniak z wydzielonymi dwoma mieszkaniami o osobnych wyjściach. Tatiana była jeszcze dość młodą kobietą ciężko pracującą w kołchozie i chyba dlatego rzadko widywało się ją w domu. Miała na utrzymaniu trójkę dzieci – dwie córki i syna. Obie części domu były podobne, z tym że mieszkanie gospodarzy było trochę większe. Łącznikiem obu mieszkań był duży piec chlebowy wystający częściowo na obydwie mieszkania, na którym znajdowały się miejsca do spania. W mieszkaniu gospodarzy znajdowały się tzw. pałatie – coś w rodzaju szerokiej półki pod sufitem stanowiącą miejsce do spania, na którą

wchodziło się po drabince od strony pieca. Przypominam sobie, że nieraz na tej „pałatki” spałam z dziećmi gospodyni. Tatiana spała na jedynym łóżku, które było w tym mieszkaniu. Babcia mówiła o Tatianie, że jest dobrą, spokojną kobietą. Jej mąż był prawdopodobnie na froncie. Mieszkanie u Tatiany zapamiętałam, bo przeżyliśmy wówczas bardzo mroźną zimę i straszliwy głód. Pewnego razu mama wybierała się wraz z innymi osobami do tajgi po drewno na opał. Nakładała na siebie z ubrań wszystko, co było możliwe, żeby nie zamarznąć. Miała również obwiązaną twarz chustami, to znaczy całą głowę łącznie z czołem nosem i brodą. Bała się nie tylko mrozu (ponad 50 stopni), ale również zgłodniałych wilków. Zdarzało się, że napadały na ludzi i konie.

Dorośli w czasie zimy pracowali przy zbożu lub inwentarzu nie otrzymując za to żadnej zapłaty. Nas czasami wspomagała Tatiana – miała własną krowę i świnkę. W tę zimę bardzo cierpiałam z powodu bólu zębów, płakałam i jęczałam. Na Syberii nie było żadnej opieki lekarskiej, ludzie ratowali się stosując znane im metody ludowe. Ja za radą babci nakładałam na bolące zęby kawałki liści tytoniu lub wciągałam w usta dym ze skręta zrobionego z pokrojonego liścia tytoniu i kawałka gazety. Dziadzio Antoni odkrywając metody babci mające na celu uśmierzenie mojego bólu, bardzo się rozgniewał i zabronił tych praktyk. Inne wspomnienie z Jakuszowej ma związek z panującym mrozem około 50 C i sytuacją pewnej polskiej rodziny. Pewnego dnia otwierają się drzwi wejściowe do naszego mieszkania, buchają gęste kłęby pary, z których wylania się moja mama i z wielkim przejęciem opowiada babci w jakich strasznych warunkach żyją Szczypuchowie, których odwiedziła z jakiegoś powodu. U tej rodziny panowała skrajna nędza – posiadali tylko jedno cieplejsze ubranie, z którego korzystała cała, dość liczna rodzina wychodząc za potrzebą na zewnątrz mieszkania. Reszta poszarpanej, pościeli z wysypującym się z dziur pierzem leży w kącie izby i przykrywa siedzących w tym barłogu członków rodziny w szczątkowych strzępach ubrań.

Rodzina Szczypuchów wróciła do Polski z Ameryki tuż przed wybuchem wojny. W Ameryce dorobili się sporego majątku. Część tego majątku udało się im zabrać na wygnanie. Na Syberii początkowo żyli znacznie lepiej niż inni Polacy wyprzedając cenne zasoby. Jednak zasoby szybko wyczerpały się a towarzysząca temu niezaradność życiowa spowodowała, że rodzina ta wpadła w skrajną nędzę. W kolchozie Jakuszowa warunki bytowe z dnia na dzień pogarszały się – ludzie ciężko pracowali i „puchli z głodu” – tak mówiła babcia.

Ponieważ po stalinowskiej amnestii byliśmy „wolnymi ludźmi” więc postanowiliśmy szukać lepszego bytu w innych przybytkach socjalistycznej gospodarki „wielkiego Związku Radzieckiego”. Wyruszone grupkami dorosłych ludzi w daleką pieszą wędrówkę w poszukiwaniu chleba. Z naszej rodziny w wyprawie wzięli udział dziadzio Antoni i stryjek Gienek. Nie pamiętam ile czasu trwała ich nieobecność w Jakuszowej, ale pewnego dnia wrócili z „podwodą” z sowchozu o nazwie Bieriozowa, gdzie znaleźli pracę na nieco lepszych warunkach niż w Jakuszowej. W sowchozie tym chętnie przyjęto Polaków, ponieważ wszystkich rosyjskich mężczyzn powołano do armii i brakowało im rąk do pracy.

Do sowchozu Bieriozowa jechaliśmy prawdopodobnie trzy dni, ponieważ w czasie drogi korzystaliśmy z dwu noclegów w domach rosyjskich rodzin. Na Syberii panował piękny zwyczaj, że nie odmawiano podróżnym noclegu. Dobrze zapamiętałam gościnność z jaką nas przyjęto na pierwszym noclegu. Go-

spodiny domu nastawiła duży samowar i częstowała nas gorącym czajem – to był wrzątek zabieleny mlekiem. Postawiła również na stół dużą drewnianą miskę wypełnioną gorącym, bardzo gęstym kapuśniakiem. Jedliśmy ze wspólnej miski drewnianymi pięknie malowanymi łyżkami. Noc spędziliśmy śpiąc na pałatiach i na podłodze.

Następny rozdział naszego życia to Nowosiołowski Miasa – Sowchoz Bieriozowa. Ten okres tułaczki pamiętam najwyraźniej. Miałam już umysł siedmioletki, większą ciekawość świata i wrażliwość na całokształt wszystkiego, co się z nami działo. Bieriozową pamiętam jako małą wioskę leżącą na pograniczu tajgi i stepu. Jej mieszkańcy byli pracownikami gospodarstwa państwowego, w którym głównymi rodzajami gospodarki rolnej były: hodowla bydła oraz uprawa zboża i ziemniaków, a także przygotowywanie paszy dla zwierząt na okres zimowy. Wiosną, latem i jesienią krowy i konie przebywały w stepie na tak zwanych wypasach. W centrum wioski w drewnianym budynku znajdowała się „kantora”, w której urzędował „priedsiedatiel” i kilkoro urzędników. W pobliżu kantory stał budynek szkolny i „ławoczka” czyli sklepik, w którym pobierało się przydziały chleba przywożonego z Dauryska. Dookoła tych urzędowych przybytków stały domy tubylców, a na obrzeżach wioski pobudowano długie drewniane baraki dla zesłańców oraz obory, cielętniki, stajnie, magazyny i szopy oraz małe prywatne obórki mieszkańców. Za wioską znajdowało się dość duże i niezbyt głębokie jezioro, w którym taplały się dzieci, a kobiety płukały uprane w ługu rzeczy, a raczej mocno połatane łachmany. Mama, która była pogodną i bardzo wesołą osobą – pamiętam jak w czasie płukania śpiewała „z przodu łata z tyłu łata, tak wygląda demokrata”.

Rodziny polskie, które przywędrowały razem z nami do Bieriozowej zakwaterowano w długim drewnianym baraku w tak zwanych kajutach. Nasza rodzina otrzymała w użytkowanie dość duże pomieszczenie z jednym, ale dość dużym oknem, z piecem kuchennym i przypiekiem służącym do ogrzewania pomieszczenia. Pod drewnianą podłogą znajdował się niewielki wykop – piwnica przykrywana od góry klapą. W naszym sąsiedztwie mieszkało wiele polskich rodzin np. Komarowie, Strychalscy, Cymborowie, Mikołajczakowie, Szydekowie. Tę ostatnią pamiętam jeszcze z Tiubilu, bowiem przyjaźniłam się z ich córkami, o których już pisałam poprzednio, podobnie jak o małym Tadzium, który zmarł w wieku półtora roku oraz o jego ojcu. W rodzinie Mikołajczaków były dwie córki Gena i Irena oraz syn Tadeusz i bardzo chora matka. Pochodzili z Gniezna, z bardzo zamożnego rodu – tak mówiła moja babcia. Irka była moją rówieśnicą, Gena starsza o rok. Była też rodzina Nikusiewiczów – matka wówczas już starsza pani, Janka – córka, osoba wykształcona, nauczycielka z zawodu, pan Dziunek – brat pani Janki, grał pięknie na skrzypcach. Z rodziny Strychalskich zapamiętałam imię chłopca, prawdopodobnie mojego rówieśnika Olka. Między Polakami znalazła się Ukrainka – Hucułka o nazwisku Figulka z córką o imieniu Rozalia. Figulka donosiła władzom sowchozowym na Polaków, którzy „ukradli” coś sowchozowego, np. trochę zboża, ziemniaków albo brukwi z potrzeby zaspokojenia głodu, który coraz bardziej dawał się we znaki ludziom ciężko pracującym. Na szczęście władze kołchozowe traktowały te donosy niezbyt poważnie. Poza wspomnianymi rodzinami, w Bieriozowej mieszkały jeszcze inne polskie rodziny, których nazwisk nie pamiętam. Polscy mieszkańcy Bieriozowej pracowali bardzo ciężko przeważnie przy obsłudze bydła, koni i uprawie roślin zbożowych, okopowych i pasz, a zapłatą za to była określona ilość chleba. Mama

oporządzająca kilkanaście dojnych krów zarabiała na dobę 400 gram chleba, a my z bratem otrzymywaliśmy po 200 gram. Wspomniane oporzędzanie polegało na karmieniu i dwukrotnym dojeniu ich w ciągu dnia. Na sezon wiosenno-letni wielkie stado krów pędzono w step na wypas, daleko od Bieriozowej. Wraz ze stadem przenosili się na cały okres wypasu obsługujący go pracownicy. Mama też udawała się z nimi i tęskniliśmy za nią zawsze z jednakową mocą. Wszystkie czynności przy bydle wykonywano ręcznie. Karmienie, czyszczenie i dojenie powodowały ból rąk, zwłaszcza podczas nocy.

Nie potrafię określić o jakiej porze roku dotarliśmy do sowchozu Bieriozowa – przypuszczam, że to mogła być wiosna. Po zakwaterowaniu w długim drewnianym baraku, osobom zdolnym do pracy przydzielono określone obowiązki. Babcia i dziadzio wykonywali różne prace polowe. Jańcia obsługiwała młode bydło. Ciocia Hela i wujek Włodek w tym czasie przebywali jeszcze w innej miejscowości z rodziną. Razem z bratem oraz z innymi polskimi dziećmi organizowaliśmy sobie sami życie podczas nieobecności starszych osób. Najczęściej bawiliśmy się w chowanego, w berka lub w „klasy”. Poznaliśmy również grę w kości polegającą na „zbijaniu” drobnych kości z odnóży świńskich – nie pamiętam skąd je mieliśmy. Graliśmy również kamyczkami podrzucając i chwytając je przy spadaniu w dół. Wieczorem, gdy dorośli wracali z pracy babcia przygotowywała jakiś posiłek, a później kładliśmy się spać na przygotowane na podłodze posłanie. Latem posłanie było obkładane liśćmi paproci, które chroniły ciało przed pluskwami, ale tylko częściowo, ponieważ pluskwy wchodziły na sufit skąd spadały na posłanie i atakowały śpiących. Mnie i mojego brata Zbysia w dodatku bolały poobijane, pokaleczone i ropiejące stopy – chodziliśmy bowiem boso przez wiosnę, lato aż do późnej jesieni. Nie mieliśmy obuwia.

W Bieriozowej nie mieliśmy też lepszych warunków do życia, bardzo głodowaliśmy, bo oprócz przydzielonego chleba tj. owych głodowych „pajek” często nie było niczego innego do jedzenia. W okresie wiosny i lata dożywialiśmy się szczawiem, lebiodą, pokrzywą, szczypiołem zbieranym na moczarach oraz cebulkami dziko rosnących tulipanów. Nie znaleźliśmy smaku mleka do momentu, kiedy Jańcia mając talent malarski zaczęła malować. Rosjankom bardzo podobały się jej pięknie namalowane widoczki lub girlandy na górnym rogu papieru listowego, na którym pisały listy do swoich bliskich „bajcow” – mężów, synów, ojców znajdujących się na froncie. Wdzięczne kobiety w zamian za tę malarską przysługę przynosiły nam niekiedy trochę mleka w glinianym garnku. Mieszkający tu Rosjanie byli w lepszej sytuacji materialnej niż my zesłańcy. Posiadali ogrody przy swoich domach i wolno im było trzymać na własne potrzeby po jednej krowie i jednej śwince na ubój.

Mimo starań nie potrafię opisać w porządku chronologicznym kolei naszych syberyjskich losów. Nie jestem też pewna kiedy mama wyjechała daleko od Bieriozowej by paść bydło. Widziałam ją wiele razy, jak jeżdżąc na koniu pilnowała stada krów trzymając w ręce bat zakończony metalowymi kulkami. Bat stanowił broń przed groźnymi w stadzie buhajami, a było ich dwie sztuki. Jeden był bardzo groźny i nazywał się Waśka. Do nozdrza miał przymocowane metalowe kółka. Mama pracowała tam od świtu do wieczora. Pod koniec dnia stado zaganiano do zagród i dojeno krowy. O ilości krów, które musiała wydoić dwa razy – rano i wieczorem nie opowiadała nam. Potem mówiło się często w naszej rodzinie, że wydojenie kilkunastu krów to wielki wysiłek i przyczyna bólu rąk

mamy. Ta bardzo ciężka praca odbijała się stopniowo bardzo niekorzystnie na jej zdrowiu. Mając dwadzieścia siedem lat życia traciła siły i coraz częściej odczuwała ból w kolanie lewej nogi. Bardzo się bałam o nią i tęskniłam, gdy z powodu wykonywanej pracy była zmuszona rozstawać się z nami. Pewnego razu bez wiedzy babci i dziadzia wybraliśmy się ze Zbysiem w odwiedzinach do mamy. Szliśmy bardzo długo wydeptanymi ścieżkami, przy których rosły i pięknie kwitły różne kwiaty. Wreszcie zobaczyliśmy w oddali pasące się krowy i dwoje jeźdźców. To była nasza mama i Cygan Andriej. Razem pilnowali stada. W pewnym momencie w naszą stronę zaczął biec z podniesionym ogonem, brykający i groźnie ryczący byk Wasia. Pewnie zabódlby nas i rozniósł na strzępy, gdyby w pobliżu nie było wysokiej sterty siana. Z opowiadań miejscowych osób, o częstych przypadkach zabijania ludzi przez rozjuszonych byków tak zwanych stadników, wiedziałam, że grozi Zbysiovi i mnie wielkie niebezpieczeństwo. Nie tracąc zmysłów mimo grozy sytuacji chwyciłam brata za chude rączki i zaczęłam razem z nim wspinać się na wysoką stertę siana. Wciągałam go z wielkim wysiłkiem, ponieważ suche, śliskie siano obsuwało się pod naszymi stopami. Jednak zdążyliśmy wspiąć się na wierzchołek sterty zanim dopadł do niej rozjuszony byk. Rogami rozrzucał siano groźnie bucząc i wierzgając tylnymi nogami.

Co było później nie pamiętam. Uratowała nas mama i młody Cygan Andriusza. Jeszcze dzisiaj obezwładnia mnie przerażenie na wspomnienie tamtej sytuacji. Inny obrazek mający związek z tą naszą wyprawą, to radość mamy, że ma nas przy sobie. Sądzę, że babcię i dziadzia powiadomiła przez odbiorców mleka z udojów, że jesteśmy u Niej. Mama mieszkała z nadwożańską Niemką Katią współpracującą przy oporządzaniu bydła. Zajmowały mały drewniany domek gdzie były prycze i piec kuchenny, na którym grzały wodę i gotowały posiłki. Przypominam sobie, że teren tego wypasu był pagórkowaty i na południowych stokach czerwieniły się między trawą owoce poziomek. Zbieraliśmy te dorodne pachnące owoce, zalewaliśmy je mlekiem i zjadaliśmy z wielkim apetytem. Powrotu do Bieriozowej nie pamiętam. Wiem natomiast, że wróciłam sama, a brat Zbysio został z mamą.

Pamiętam, że babcia miała ataki malarii i ja się nią opiekowałam. Pierwszymi objawami choroby były mocne dreszcze i uczucie zimna. Przykrywałam wtedy chorą, czym tylko się dało, a po ustąpieniu dreszczy babcia dostawała bardzo wysokiej gorączki i traciła przytomność. Pewnego razu, gdy była bardzo cierpiąca, po upalnym przedpołudniu nadciągnęła burza z błyskawicami, grzmotami i ulewnym deszczem, który przeciekał do wnętrza kajuty i stopniowo zalewał całą jej powierzchnię. Babcia leżała rozpalona i nieprzytomna na pryczy, którą przesuwałam w jeszcze suche miejsca naszej izby. Mogłam mieć wtedy zaledwie siedem lat. Skąd czerpałam tyle siły do przesuwania ciężkiej pryczy z chorą babcią?

Kiedy nadeszła jesień a potem zima, zapanował wielki głód. Dostawaliśmy małe porcje chleba i nic więcej. Cała żywność szła na front. Mama, żeby ratować Zbysia i mnie przed głodowym wycieńczeniem, postanowiła dokarmiać nas mlekiem z nielegalnego źródła. Wykorzystała do tego celu robocze ubranie składające się z watowanych spodni i kufajki. Do spodni od wewnętrznej strony wszyła dwie kieszenie i do nich wkładała półlitrowe butelki napełnione ukradkiem mlekiem w czasie dojenia krów. Sama też nie tracąc okazji piła „kazionne” mleko. Wspomniana już Hucułka Figulka mieszkała w „naszym” baraku naprzeciw drzwi wejściowych do korytarza, dzięki czemu miała możliwość podglądania

sąsiadów. Od rodziny z Huculszczyzny często otrzymywała paczki żywnościowe, w których również przysyłano jej cukierki. Udając dobrotliwą osobę wabiła tymi cukierkami polskie dzieci do swojej kajuty i przy okazji poczęstunku wypytywała je o różne rodzinne sprawy. Otóż ode mnie i mojego brata dowiedziała się, że mama przynosi nam potajemnie mleko. Wkrótce doniosła o tym „priedsiedatielowi” sowchozu, a ten wezwał mamę do „kantory” na rozmowę. Sądzę, że był dobrym człowiekiem i brzydził się donosicielstwem, ponieważ nie ukarał mamy; powiedział jedynie, że rozumie Jej sytuację i że ze względu na panujący głód musi wykarmić za wszelką cenę dwoje małych dzieci, ale musi się strzec złych ludzi i tutaj padło nazwisko Figulki. Mama była przerażona tym wydarzeniem, ale nadal od czasu do czasu przynosiła „kazionne” mleko w przepastnych kieszeniach „waciaków”. Priedsiedatiel okazał się człowiekiem wielkodusznym.

Polskie kobiety jesienne i zimowe wieczory spędzały na przędzeniu, spotykając się w umówionych miejscach. Często odbywało się to w naszej kajucie; przychodziły z kądzielami i przędły pięknie wyczesany len lub wypraną, puchatą wełnę owczą. Nie wiem skąd i jak zdobywały len, natomiast wełnę nabywały od ludzi miejscowych, którym wolno było trzymać po kilka owiec. Innym źródłem nabywania wełny, raczej nielegalnym, byli Chakasi, hodowcy owiec – skośnooki koczujący po stepie autochtoniczny naród. U nich można było potajemnie nabyć wełnę na zasadzie handlu wymiennego.

Dla mnie siedmiolatki te wspólne wieczory prządek były lekcjami polskości i patriotyzmu. Poznawałam twórczość Mickiewicza, Sienkiewicza i Konopnickiej, uczyłam się śpiewu polskich piosenek i pieśni religijnych. W czasie wypędzania nas z naszego domu w lutowy poranek 1940 roku dziadziowi udało się zabrać z domowej biblioteczki Biblię, trylogię Sienkiewicza, „Ballady i romanse” Mickiewicza oraz wiersze Marii Konopnickiej. Pamiętam, jak prządki prosiły naszą Jańcię żeby czytała głośno „Potop”. Czytała chętnie i płynnie, a potem rozwijała się dyskusja na temat losów Oleńki i Kmicica. Chłonełam te treści z wielkim zainteresowaniem – kształtowały moją wyobraźnię. Ziarenko polskości zaczęło się rozwijać; zachęcana przez mamę zaczęłam poznawać polskie litery i pisać po polsku na starych rosyjskich gazetach między drukiem i w miejscach niezadrukowanych. Atrament robiłam z buraka ćwikłowego. Nie pamiętam, jak go zdobyłam, ale wiem, że starłam go na tarce i wycisnęłam sok, którym pisałam posługując się naciętym w kształcie stalówki ptasim piórem. Buraczany atrament przeniesiony na gazetowy papier brązował i białł, ale dzięki niemu opanowałam sztukę pisania w języku polskim. Poza tym zaczęłam samodzielnie czytać poezję Mickiewicza i Konopnickiej. „Litanię” Bełzy znałam już od dawna. Nowe treści mocno wpływały na kształtowanie mojej wyobraźni i wrażliwości na wszystko, co wokół nas się działo. Liczenia, dodawania i odejmowania za radą mamy uczyłam się na patyczkach, samodzielnie. Uwielbiałam wieczorne śpiewy polskich kobiet przy akompaniamencie furczących wrzecion. Pamiętam umawianie się do śpiewu na głosy i wołanie do mojej mamy „Józia Ty śpiewaj drugim głosem”. Śpiewały pięknie, a tytuły lub fragmenty niektórych piosenek pamiętam do dnia dzisiejszego: „Zmarł biedaczysko w polowym szpitalu, a wczoraj był wesół i zdrów”. Inne piosenki „Pośród drzew w pięknej altanie Edwin Wandzie ścisnął dłoń” albo „Na Podolu biały kamień Podolanka siedzi na nim ...”, albo „Ty pójdiesz górą (bis) a ja doliną, Ty zakwitniesz różą (bis), a ja kaliną...”. Odbywało się również śpiewanie pieśni religijnych i wspólne modlenie się w różnych intencjach. Mama miała

piękny głos i często śpiewała. Bardzo lubiłam te wieczory przy kądzieli, kobiety przędąc śpiewały, żartowały i opowiadały różne ciekawe historie, a wrzeciona furczały i obrastały w cieniutką przędzę. Te wieczory i wszystko, co się w czasie nich działo odbywało się w nikłym świetle „kopciucha”. Kopciuch był zrobiony z puszki po konserwie, którą napełnialiśmy naftą, przykrywaliśmy jakimś krążkiem, z którego wystawał knot zrobiony z „bundy” dziadzia. Bunda to było okrycie w rodzaju peleryny uszyte z grubego wełnianego materiału. Służyło dziadziowi w syberyjskich warunkach zimą i latem, jako płaszcz i koc, a gdy zniszczyła się pozwolił na robienie z niej knotów. Odcinaliśmy z niej paski o szerokości około 1,5 cm, które zanurzone w blaszance z naftą dawały dosyć jasny płomień. Ja mając siedem lub osiem lat nauczyłam się pod kierunkiem mamy sztuki posługiwania się kądzielą i wrzecionem. Przędłam len i wełnę, a także robiłam na drutach skarpety, szaliki, pończochy i rękawiczki. Pewnego razu mama przyniosła pasmo włókien z końskiego ogona, z których ręcznie skręciłyśmy sznurek. Z tego sznurka robiłam dla siebie coś w rodzaju ciepłych bamboszy. Do tego celu posłużyłam się szydełkiem, które własnoręcznie wystrugałam z gałązki jakiegoś drzewa lub krzewu. Bambosze były ciepłe i ładne.

Nie przypominam sobie od kiedy polskie dzieci zobowiązano do nauki w rosyjskiej szkole. Wydaje mi się, że to nastąpiło niebawem po naszym przybyciu do Bieriozowej. Uczyła nas Polka pani Janka Nikusiewicz z zawodu nauczycielka, znająca między innymi język rosyjski. Pierwszy raz w życiu otrzymałam dwa zeszyty – jeden do pisania tekstów a drugi do kaligrafii czyli do nauki pisania liter ładnym, równym, lekko pochyłym w prawo pismem.

Zima 1942/43 była bardzo mroźna, panował głód i beznadziejne oczekiwanie, że może coś się zmieni i przyjdą lepsze czasy. Z tęsknotą oczekiwaliśmy nadejścia wiosny i lata. Podczas mroźnych wieczorów i nocy często słyszeliśmy wycie zgłodniałych wilków. Podchodziły do wioski pod inwentarskie pomieszczenia sowchoźników próbując dobrać się do przestraszonych zwierząt. Pamiętam, jak spędzaliśmy Święta Bożego Narodzenia w pamiętnym 1942 roku a zwłaszcza Wigilię. W piwniczce pod podłogą kajuty mieliśmy trochę kartofli, chyba z jakiegoś sowchozowego przydziału dla „roboczych”. Jedliśmy je bardzo oszczędnie, a część z nich wydzielono na sadzeniaki, ponieważ władze sowchozowe obiecały polskim rodzinom niewielkie działki ziemi pod uprawę ziemniaków. Na okres Świąt Bożego Narodzenia babcia przeznaczała do zjedzenia trochę więcej kartofli, z których przygotowano nadzieje na pierogi. W zapasie miała trochę mąki, więc wspólnie z mamą narobiły tyle pierogów, żeby cała rodzina mogła najeść się do syta. Pamiętam, że zjadłam ich bardzo dużo. Więcej nie mogłam. Kiedy święta minęły i nastąpiła głodowa rzeczywistość, widziałam te pierogi w marzeniach i żałowałam, że nie zjadłam ich więcej. Babcia i mama tłumaczyły mi, że nie można najeść się na zapas. Przypominam sobie, że w czasie Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia podłoga w naszej kajucie była wyścielona grubą warstwą siana. Babcia obawiała się, żeby siano nie zajęło się od kopciucha w razie jakiejś nieostrożności albo od iskry z pieca kuchennego. My z bratem byliśmy szczęśliwi z powodu tego siana – było przytulnie i ciepło, ale byliśmy bardzo ostrożni w postępowaniu z ogniem. Po świętach wróciła głodowa rzeczywistość. Zapas ziemniaków skończył się. Została tylko niewielka garstka przeznaczona do sadzenia na wiosnę i były one nietykalne. Nie było pajek chleba. Pewnego razu podebraliśmy ze Zbysiem po kilka zakazanych ziemniaków i na umówionym z innymi dziećmi spotkaniu, w „mieszkanu” Szydełków upiekliśmy je w paleni-

sku pieca i zjedli z wielkim apetytem. Babcia i mama zauważyły ubytek i gniewały się na nas. Mama pocieszała się, że pozostałe bulwy będzie można do sadzenia dzielić na części o jednym lub dwu oczkach.

Bywało też, że mama w towarzystwie polskich przyjaciółek chodziła do bardzo odległych miejscowości na tak zwaną „wymianę” rzeczy z ubrania na żywność. Pewnego razu przyniosła w zarzuconej na plecy płachcie głowy zmarzniętej kapusty, z której babcia przyrządzała przez kilka dni zupę. Oczekiwaliśmy wiosny mając nadzieję na lepszy byt, ale okazało się, że z jej nadejściem sytuacja jeszcze bardziej pogorszyła się, ponieważ na rzece Czującym ruszyła kra i została całkowicie przerwana dostawa chleba. Chleb był wypiekany w miejscowościach po drugiej stronie rzeki Czującym i przywożony do Bieriozowej promem, a następnie transportem konnym. W tej sytuacji zostaliśmy całkowicie pozbawieni żywności i pewnego ranka babcia powiedziała: „nie ma co jeść, wypada wbić zęby w ścianę”. Pamiętam, że dziadzio Antoni bardzo źle znosił głód – miał okresy depresji – krzyczał i płakał, a my nie mogliśmy mu pomóc.

Na Syberii szybko następują zmiany pór roku. Gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, wtedy szybko ustąpił śnieg i ludzie ruszyli po zbiór zmarzniętych ziemniaków z sowchozowych pól, nie zauważonych, a często celowo zostawianych w czasie wykopków. Ziemniaki były pomarszczone i miękkie, ale można je było zetrzeć na tarce i piec z nich placki na płycie kuchennej. Placki te bez soli kuchennej nie były smaczne. Nie pamiętam, czy przez cały czas, czy tylko przez pewien okres nie mieliśmy dostępu do soli kuchennej, tylko w oborach była sól bydłęca, ale w smaku gorzka i nie nadawała się do celów kuchennych. Wraz z nastaniem wiosny na stepie zaczęły się pojawiać: szczaw, lebioda, pokrzywa, a na moczarach – dzika cebula i czosnek. Ta zielenina była naszą żywnością, przyrządzana na różne sposoby, ale bez dodatku soli pozbawiona smaku. Nie znałam smaku masła, sera, jajek, nie wiedziałam o istnieniu takich potraw.

Zbliżały się Święta Wielkanocne. Okres wielkiego postu przeżywaliśmy modląc się i śpiewając religijne pieśni. Mama opowiadała bratu i mnie o męce Pana Jezusa i zachęcała do okazywania skruchy przed Panem Bogiem i przepraszania za popełnione grzechy. Dbała bardzo o stronę religijną naszego wychowania ucząc modlitw i pieśni religijnych. W okresie Świąt Bożego Narodzenia śpiewaliśmy kolędy, a znaliśmy ich wiele. W okresie Wielkiego Postu śpiewaliśmy najczęściej „Wisi na krzyżu” i „Ludu mój ludu”. Pamiętam, że śpiewając te pieśni ze Stasią Szydełko, zalewałyśmy się łzami i bardzo żałowałyśmy za popełnione grzechy. W okresie wiosny, zwłaszcza w maju, śpiewaliśmy pieśni Maryjne, odmawiałyśmy Litanie Loretąńską i modlitwę Św. Bernarda. Święta Wielkanocne przypadały na okres przedwiośnia lub wczesnej wiosny, czyli na okres największego głodu. Dorośli snuli wspomnienia świąt z przed wojny, o dzieleniu się święconym jajkiem i o suto zastawionym stole. Kiedyś mój sześćdziesięcioletni braciszek wymyślił, że trochę jajek można podebrać z ptasich gniazd i pewnego dnia przyniósł kilkanaście wzorzystych, kolorowych, różnej wielkości ptasich jajek. Mama była niemile tym zaskoczona i tłumaczyła mu, że nie wolno podbierać ptakom jajeczek z ich gniazd, że z nich wylęgają się małe ptaszki. Okazało się, że te jajeczka to były zbuki, czyli częściowo zależzone i zepsute jajo ptasie. Zbysio głęboko przeżył tę swoją porażkę i już nigdy tego nie robił, przeciwnie – strzegł ptasich gniazd.

Latem 1943 r. nastąpił pobór polskiej młodzieży do wojska. Pamiętam ciężarowy samochód pokryty plandeką, który stał w centrum wioski i wspinają-

cych się do niego młodych Polaków i Polki. Otaczały go zapłakane rodziny wznoszące modlitwy i błogosławieństwa. Ja też płakałam, bo wśród tych młodych ludzi znajdował się nasz ukochany stryj Gienek i wielu jego kolegów, między innymi Piotr Cymbor i Józio Szpak. Józio był chory psychicznie, a mimo to zwerbowano go do wojska. Wielu z tych młodych ludzi zginęło pod Lenino i w późniejszych frontowych walkach z Niemcami.

Ciocia Hela z wujkiem Władkiem nie przebywali z nami w Jakuszowej, a także w Bieriozowej. Pracowali i mieszkali z rodziną Włochów w innej miejscowości. Z tej rodziny wzięto do wojska wujka Władka i jego brata – Staszka wraz z żoną Rózią, Tomka, Romka i siostrę Zosię. Cioci Heli nie zabrali ze względu na zły stan zdrowia. Została z teściem i synem Tomka – Stasiem – moim rówieśnikiem. Wzruszający był moment, gdy z Bieriozowej ruszył samochód z polską młodzieżą i gdy rozległ się bardzo głośny śpiew. Wszyscy śpiewali nasz narodowy hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” i głośno płakali. Po upływie miesiąca, a może dłuższego okresu od wyjazdu polskiej młodzieży do wojska dołączyła do naszej rodziny w Bieriozowej ciocia Hela. Dzięki niej było nam trochę łatwiej, ponieważ zarabiała szcieniem otrzymując zapłatę w produktach żywnościowych od rosyjskich klientek.

Chyba latem 1943 r. przyszła paczka żywnościowa z PCK zaadresowana do naszej Mamy. Była to niespodzianka, ale i wielka rozczarowanie w oczach mamy na widok zawartości tej paczki. Pamiętam Jej słowa: „Lepiej żeby przysłali trochę smalcu, mąki i kaszy a nie te delikatesy”. Okazało się, że paczka zawierała, naturalną kawę, herbatę, figi, rodzyunki i trochę słodyczy. Widziałam w oczach mamy zmieszanie i łzy. Jednak przysłowie „Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło” sprawdziło się tym razem, bo ktoś z sybiraków, chyba tubylców doradził mamie żeby wybrała się z step do mieszkających tam Chakasów, koczujących pasterzy owiec z propozycją wymiany herbaty i kawy na owczą wełnę. Zdaniem doradców Chakasi byli smakoszami herbaty i kawy, a zatem gotowi byli zapłacić każdą cenę za towar w syberyjskich warunkach nie do zdobycia. Stało się tak, że pewnego letniego dnia wyruszyliśmy z mamą w daleką wędrówkę po stepie. Szliśmy wydeptanymi ścieżkami i po wielu godzinach zobaczyliśmy Chakaską wioskę. Szczegółów nie pamiętam, ale przypominam sobie, że zostałyśmy zaproszone do obszernej jurty, w której siedział „po turecku” stary Chakas, pewnie zwierzchnik tego plemienia i pykał dużą fajkę. Miał ciemnożółtą płaską twarz i skośne oczy z nieodgadnionym wyrazem. Uważnie wysłuchał oferty mojej mamy, a potem panowało dość długie milczenie. Siedziałyśmy również po turecku na jakimś dywaniku i czekałyśmy na odpowiedź. Handel wymienny okazał się niezwykle dla nas korzystny. Mama cieszyła się, że z uzyskanej dużej ilości wełny będzie mogła „zamówić” dla mnie i brata walonki tj. bardzo ciepłe obuwie, a także dla siebie oraz że tej wełny wystarczy jeszcze na zrobienie pończoch, skarpet, rękawic i swetrów. Część tej wełny miała kolor brązowy i z niej powstały walonki, a część była w kolorze białym. Słodycze z paczki mama wydzielała mnie i Zbysiówi w małych racjach. Jedliśmy je, jakby na pokaz między rosyjskimi rówieśnikami, a oni patrząc na figi pytali: „a eto szto takoje” – odpowiadaliśmy z bratem, że to figi, na co nasi rosyjscy koledzy i koleżanki parskali śmiechem i odpowiadali: „wy duraki – wot eto figa” pokazując przy tym splecione palce.

Czas płynął, a nadzieja powrotu do Polski, do domu była zmienna. Docierały do nas różne pogłoski o możliwościach powrotu do Ojczyzny. Mama podpadała na zdrowiu, traciła siły, zaczęła utykać z powodu mocno bolącej nogi, a ten ból nasilał się z biegiem czasu. Słowa Bóg, Ojczyzna, Polska nie schodziły z jej ust. Pomimo wielkiego cierpienia żartowała, że swoich dolegliwości chyba po to, żeby ten ból zamaskować i nie dawać nam powodu do zmartwienia i obaw o jej zdrowie. Ale ja nie ulegałam tym pozorom, widziałam cierpienie mamy i miałam w sercu wielki, a właściwie rosnący z dnia na dzień lęk. Chorą nogę próbowała leczyć stosując masaż pokrzywą, sporządzała smarowidło z mrówek, które nakładała na bolące kolano albo przykładła do niego pijawki. Od dojenia kilkunastu krów bolały ją ręce. Bardzo cierpiała, a przecież przeżyła dopiero 29 lat. Kochała nas bardzo i była dumna, że ma parkę, ale to Zbysio był jej „oczkiem w głowie”. Miałam uczucie, że zły los ciągle nas z mamą rozdziela.

Nie pamiętam kto i w jaki sposób wykrył u Stasi Szydełko i u mnie „cynge” czyli szkorbut, a jeszcze inaczej – gnilec dziąseł. Leczenie tej choroby polegało na pędzlowaniu jamy ustnej jakimś specyfikiem. Na ten zabieg chodziliśmy ze Stasią do Nowosiołowej – miejscowości odległej od Bieriozowej o kilkanaście kilometrów. Całe szczęście, że to wędrowanie przypadło na okres lata. I to było ostatnie lato wspólnych zabaw i wielkiej przyjaźni z Szydełkównymi, a zwłaszcza ze Stasią. Rodzina Szydełków wyprowadziła się do sąsiedniej wioski odległej od Bieriozowej o kilka kilometrów o nazwie Kargałyk. Bardzo brakowało mi towarzystwa Stasi, miałyśmy tyle wspólnych sekretów – to właśnie ona uświadamiała mnie, że dzieci wychodzą z brzuszka mamy, ku memu wielkiemu zdumieniu.

Do Bieriozowej wrócił z frontu. z powodu inwalidztwa młody Rosjanin o imieniu Misza. Na froncie utracił nogę i chodził wsparty o kulę. To był jedyny kawaler we wsi, cieszył się u dziewcząt wielkim powodzeniem, ponieważ był ładnym chłopcem, pięknie grał na harmonii. Siedząc wieczorami na „krylce” swojego domu śpiewał. Razem z nim śpiewały dziewczęta. Pamiętam niektóre fragmenty tych piosenek, jak np.

Anita gładzi gałubyje,
w kawo krasawica rastiosz?
Rastu ja w maminku radnuju och radnuju,
a jej magiłka daleko.

Albo:

Dajcie w ruki mnie garmoń
Załatyje płanki
Piariień Dewoczku damoj
Proważał z gulanki
Oni szli ruka w ruku wiesieło i družno
Taka noczka nie balsza, rozstawatsa nužno

Jeszcze inne:

W etom szale my z niom powstriezczalis
W etom szale on mienia proważał
Ja szcziastliwa lico zakrywała
A on niezna mienia ceławał

Albo:

Spojtie piesniu junosti mojej
Spojtie piesniu junosti poka
Wsio rawno lubimaja
Pracwiot czieriomucha.

Albo:

Tam w Krasnojarsie tiurma bolszaja
Narodu w niej nie pieriesiecz
Ograda kamiennaja wysoka
Czieriez niej nie pierielest.

Bywało, że w czasie letnich wieczorów rosyjskie dziewczęta splecione ramionami spacerowały, idąc szerokim szeregiem przez wioskę śpiewały pięknie „na głosy” piosenki albo czastuszki. Bywało i tak, że Misza grał na harmonii, a one z wdziękiem tańczyły („płasały”) unosząc w palcach „płatok” (chusteczkę). Jako ośmio a potem dziewięciolatka patrzyłam na te popisy z zachwytem i marzyłam, że kiedyś też tak będę tańczyć i śpiewać.

Lato 1943 r. przemknęło szybko, nastąpiła jesień, a potem mroźna zima. Chodziłam do rosyjskiej szkoły, w której nadal uczyła pani Janka Nikusiewicz. Asystowała jej młoda Rosjanka, studentka pedagogiki, odbywająca praktykę w tutejszej szkole. Tej zimy było nie tylko mroźno, ale i głodno. Zbysio i ja często chorowaliśmy. Wysoka gorączka i utrata przytomności bardzo nas osłabiały. Oprócz nauki w rosyjskiej szkole nadal sama uczyłam się czytać i pisać po polsku korzystając z „Potopu” Sienkiewicza, poezji A. Mickiewicza i M. Konopnickiej. Pisałam listy do stryja Gienka, który był w dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Podobno cieszyły go te moje listy i chwalił się wśród kolegów, że otrzymuje je od bratanicy „samouka” języka polskiego.

Ciocia Hela posiadając umiejętności krawieckie przyjmowała od Rosjanek zlecenia na szycie. Robiła to ręcznie, ponieważ nie miała maszyny do szycie. Pamiętam uszyty przez nią kożuszek dla młodej Rosjanki „kosogłazoj” Marusi. Miała wykształcenie zootechniczne i nadzorowała w sowchozie produkcję zwierzęcą. Dobrze zarabiała i była dobrą klientką. Marusia była ładną szczupłą i zgrabną blondynką, ale miała zezą i dlatego nazywano ją „kosogłazą”. Za uszycie pięknego kożuszka dobrze Cioci zapłaciła pieniędzmi, które ciocia odłożyła na czarną godzinę. Pewnego razu przyszła od wujka Władka paczka z ubraniami. Część tych rzeczy ciocia sprzedawała zamożniejszym Rosjanom i znaczną częścią obdarowała Rodzinę. Przypominam sobie, że najpiękniejszą sukienkę kupiła Marusia ; wyglądała w niej, jak modelka.

Mnie z otrzymanych rzeczy w paczce ciocia uszyła piękny „sarafan”, błękitną spódniczkę w kontrafałdy i na szelkach oraz białą jedwabną bluzeczkę. W spódniczce i bluzeczce wystąpiłam na patriotycznej polskiej akademii. Akademia odbyła się wiosną 1944 r. w rosyjskiej szkole, jednak nie pamiętam na jaką okoliczność, a z wiersza, który recytowałam zapamiętałam tylko początkowy fragment „Ziemio Polska, Ziemio Święta...”. Zgromadzeni na uroczystości Polacy ze wzruszenia płakali. Pan Dziunek Nikusiewicz grał na skrzypcach, a polskie dzieci śpiewały „Płynie Wisła płynie po polskiej krainie, a dopóki płynie Polska nie zaginie”.

Rodzina Nikusiewiczów cieszyła się wśród rodaków wielkim autorytetem i stanowiła oparcie dla wygnańców. Panią Jankę, moją nauczycielkę, osobę inteligentną i wykształconą podziwiałam i kochałam. Ale pewnego dnia dowiedziałam się, że rodzina Nikusiewiczów wyjechała z Bieriozowej. W szkole panią Jankę zastąpiła młoda Rosjanka, która przez dłuższy czas odbywała praktykę w zawodzie nauczycielskim pod przewodnictwem pani Janki. Siedziała przeważnie w ostatniej ławce i obserwowała tok lekcji.

Tymczasem w gronie zesłańców rodziła się nadzieja na powrót do Ojczyzny. Mama coraz bardziej traciła zdrowie, coraz częściej i dotkliwiej bolała ją noga, ale pomimo cierpienia miała w sobie dużo radości, nadziei na lepsze jutro i dużo optymizmu. Nie przypominam sobie, kiedy władze sowchozowe przydzieliły polskim rodzinom małe działki gruntu pod uprawę ziemniaków i warzyw. W każdym razie w 1944 r. mieliśmy posadzone ziemniaki gdzieś na polu, a na obrzeżach Bieriozowej dziadzio założył ogród warzywny. Ogrodził go płotem z wikliny i uprawiał różne warzywa. Nie mogłam doczekać się, kiedy wyrosnie marchewka i pomimo prośby dziadzia skierowanej do rodziny, żeby pozwolić warzywom na wyrośnięcie, pewnego dnia wtargnęłam do ogrodu z grupą koleżanek i powyrywałyśmy sporo niewyrośniętych marchewek. Dziadzio bardzo się gniewał, gdy odkrył szkodę, ale ja byłam ostatnią osobą, na którą dziadzio skierowałyby podejrzenie – przecież byłam jego pupilką. Widząc zagniewanie i zgorzienie dziadzia, poczułam się bardzo winna, zawstydzona i pełna obawy, że zostanę zdemaskowana przez najbliższe mi osoby – co za wstyd i hańba! Postanowiłam, że już nigdy w przyszłości w taki sposób nie postąpię. Jednak do winy tej nie przyznałam się.

Następne ważne wydarzenie w życiu naszej rodziny to przeprowadzka z zapluskwionego barku do tzw. „murawańca”, czyli budynku z cegły usytuowanego w centrum wioski. W jego wnętrzu znajdował się piec chlebowy dzielący izbę na dwie części, czyli pokój z jednym oknem i kuchnię. W tak zwanym pokoju stały trzy lub cztery prycze i stół. W kuchni było również jedno okno, a na piecu chlebowym miejsce do spania. Pod piecem znajdowała się wnęka, w której suszyło się drewno na opał. Przed wejściem do kuchni była dość duża sień, w której jedynym meblem była dziadziowa skrzynia z narzędziami. W takim to budynku zamieszkała nasza siedmioosobowa rodzina: Babcia, dziadzio, ciocia Hela, ciocia Jania – wówczas już siedemnastolatka, moja mama, brat i ja ze swoim ulubionym kotem „Kiciem”. Przeprowadzka miała miejsce późnym latem lub wczesną jesienią, pamiętam, że było jeszcze ciepło.

Mama z powodu chorej nogi coraz mocniej utykała, traciła zdrowie i siły, ale nadal musiała ciężko pracować obsługując sowchozowe krowy. Jej cierpienie było moim wielkim cierpieniem i lękiem oraz jakimś niedobrym przeczuciem. W nowym miejscu zamieszkania spałam na piecu chlebowym razem ze swoim kotkiem, który tulił się do mnie, liział moją twarz i swoje łapki. Babcia upominała mnie, że od tego kociego lizania dostanę liszai i rzeczywiście pokażały się na buzi.

W pobliżu naszego „murawańca” znajdowała się „bania”, w której zażywaliśmy co pewien czas kąpeli w oparach grzejącej się w kotłach wody i wylewanej na duży rozgrzany kamień. Zajmowałyśmy z mamą miejsce na szerokiej drewnianej półce i brzożowym małymi miotełkami chłostałyśmy delikatnie

rozgrzane ciało. Pamiętam, zawsze czułam się skrępowana z powodu nagości. Mama wierzyła, że ten brzozowo-parowy masaż uzdrowi jej organizm, a zwłaszcza nogę. W tamtych czasach mydło było dla mnie pojęciem abstrakcyjnym. Do mycia głowy i prania rzeczy, a raczej łachmanów wykorzystywano popiół drzewny robiąc z niego tak zwany ług. Płukanie wypranych rzeczy odbywało się w pobliskim jeziorze. Do celów higienicznych w mojej rodzinie wykorzystywało się poza ługiem naftę i gęste drewniane grzebienie. W ten sposób broniliśmy się również się przed wszawicą i brudem. W „murowańcu” trafiały się również pluskwy, z którymi trwała nieustanna walka. Wodę pitną czerpaliliśmy ze studni znajdującej się w dość dużej odległości od nas. Napełnione wodą cebrzyki trzeba było przynieść do domu przy pomocy koromysła. Koromysło z wiszącymi na jego końcach, napełnionych wodą kubłami, zakładało się na ramiona i niosło do domu. Zaopatrywanie w wodę często było moim udziałem. Dzięki umiejętnościom dziadzia, nabytym w austriackiej szkole zawodowej w czasie młodości, mieliśmy różne niezbędne w życiu przedmioty, jak drewniane kubły, cebrzyki, balię, żarno. Na żarnie rozdrabnialiśmy ziarno zboża wyłuskanego z kłosów zebranych ukradkiem ze ściernisk.

Zima, którą przyszło nam przeżyć w „murowańcu” była bardzo śnieżna i mroźna. Pamiętam bardzo wysoki przekop w śniegu wiodący od drzwi do ulicy. Dziadzio pilnował by padający często śnieg nie odciął nam wyjścia z domu. Oprócz mrozów około 40-50 C panował wielki głód. Skończył się zapas ziemniaków zebranych z działki i nie dowożono przydziału chleba. Przypominam sobie, że naszymi ziemniakami dzieliliśmy się z rodziną Mikołajczaków. Babcia napełniała nimi koszyczek, który właśnie ja co pewien czas nosiłam do ich mieszkania.

Czekaliśmy z utęsknieniem na nadejście wiosny i możliwości pozyskania pożywienia z darów przyrody. Po stajaniu śniegu wyruszyliśmy ze Zbysiem na mokradła i skacząc z kępy na kępę zbieraliśmy szczypior dzikiej cebuli i czosnku. Poza mokradłami zbieraliśmy młodą pokrzywę, a nieco późniejszą wiosną – lebidę. Z tej zieleniny babcia robiła różne potrawy, ale bez soli nie miały one dobrego smaku. Szukaliśmy również pożywienia na „kartofliskach”, na których tu i ówdzie można było znaleźć zmarznięte, pomarszczone bulwy. Tarliśmy je z trudem na tarce i piekli z nich na płytach kuchennych placki, które byłyby znacznie smaczniejsze z dodatkiem soli, ale soli wciąż nie mieliśmy. Pewnego razu wczesną wiosną wybrałyśmy się z ciocią Helą na zbiór kłosów pszenicy na sowchozowe pola bardzo odległe od wioski. Kłosów było niewiele, widocznie ktoś przed nami zdążył je wybierać. Wspominam tę wyprawę dlatego, że na tych bezkresnych i bezleśnych przestrzeniach wiał silny lodowaty wiatr, który przenikał moje ciało „do szpiku kości” i nie było żadnej możliwości ukrycia się przed nim. Obie z ciocią odchorowałyśmy tę wyprawę, a zbiór kłosów był mizerny.

W opał zaopatrywaliśmy się przywożąc z lasu suche kawałki powalonych drzewa, najczęściej brzozowe. Kora brzozy służyła do rozpalania. Po drewno do lasu jeździł dziadzio, albo Jania sowchozowym zaprzęgiem, na co trzeba było uzyskać pozwolenie. Nieraz towarzyszyłam Janci w tej wyprawie. Pamiętam, że do uprzęży koni zaczepiałyśmy dzwonki, które miały odstraszać wilki. Załadowanie wozu drewnem wymagało dużego nakładu pracy. Drewno pochodziło przeważnie z wiatrolomów i wymagało oczyszczenia z gałęzi i odcięcia od korzeni. Po przywiezieniu pod dom trzeba było go po-ciąć, porąbać i ułożyć do schnięcia.

Zdarzało się, że w sowchozie padały zwierzęta, z których w czasie dotkliwego głodu ludzie starali się uzyskać część mięsa nadającego się do jedzenia. Zapamiętałam sytuację, gdy któregoś dnia rano przybiegł do nas młody chłopiec – Polak z informacją do dziadzia, że zdechł koń, z którego trzeba „spuścić krew” póki ciepły. Dziadzio chwycił jakiś ostry nóż i widocznie zrobił co trzeba, bo przyniósł do domu sporo koniny, którą sam upiekł w chlebowym piecu. Nikt z rodziny nie tknął tego mięsa oprócz mnie przekonanej przez dziadzia mówiącego do mnie: „ty Lesiuniu jedz mięso – jest smaczne, a te paniusie widać wolą zdychać z głodu”.

W 1944 r. zezwolono na organizowanie polskich szkółek, w których nauczycielami zostawali ludzie bez wykształcenia pedagogicznego. Nauczycielką została ciocia Hela, która przed wojną, ukończyła szkołę zawodową we Lwowie. Organizowano je dla wiejskich dziewcząt w celu zdobywania takich umiejętności, jak krawiectwo, koronkarstwo, gotowanie, prowadzenie gospodarstwa domowego itp. Oprócz tych praktycznych przedmiotów dziewczęta uczyły się języka polskiego, historii, matematyki i innych przedmiotów ogólnokształcących. Dzięki temu wykształceniu powierzono Cioci nauczanie dzieci polskich w dwu szkółkach – w Bieriozowej i w Kargałyku. Nauka odbywała się co drugi dzień. Do tej drugiej szkoły ciocia chodziła pieszo, a ja często jej towarzyszyłam, ponieważ cieszyły mnie spotkania z dziewczętami z rodziny Szydełków. Między Bieziozową a Kargałykiem była duża odległość i pokonywanie jej było najgorsze w czasie zimy ze względów na bezdroża powodowane przez zamiecie śnieżne i zgłodniałe wilki. Kiedyś zdarzyło się, że musiałyśmy z Ciocią zawracać z drogi do Bieriozowej, ponieważ na zaśnieżonych polach niedaleko za wioską ukazał się wilk. Byłam przerażona i zdrętwiała, ale ciocia zachowała spokój i powiedziała „wracamy na Kargałyk”. Jeszcze dzisiaj na wspomnienie tamtej sytuacji czuję obezwładniający strach. Przenocowałyśmy u polskiej rodziny i wczesnym rankiem wyruszałyśmy do Bieriozowej.

Życie na Syberii stawało się coraz trudniejsze. Niemal cała żywność z sowchozu była zabierana na zaopatrzenie armii na froncie i dużych miast. Młodzi ludzie, głównie mężczyźni szli na wojnę, a na roli i przy obsłudze inwentarza pracowali ludzie starzy, kobiety i dzieci.

Mama coraz bardziej cierpiała z powodu chorej nogi, której nie mogła wyprostować. Miała spuchnięte kolano, łydka stawała się coraz szczuplejsza, a temu towarzyszył ból trudny do zniesienia. Cała nasza rodzina cierpiała z powodu jej choroby. Babcia i dziadzio bardzo zatroskani takim stanem jej zdrowia przekonali mamę by w towarzystwie cioci Heli pojechała do Krasnojarska po poradę lekarską. Okazało się że miała w kolanie wodę, którą usunięto. Nastąpiła ulga, ale po pewnym czasie bóle wznowiły się, a mimo to musiały ciężko pracować.

W tych ciężkich czasach dzieciom też nie wolno było próżnować. Pamiętam, że jako ośmio – a potem dziewięcioletnia dziewczynka w czasie wakacji musiałam myć i szorować cielętniki albo wrywać osty i inne chwasty z zasiewów pszenicy. Od wbitych w ciało ości ropiały mi ręce i poobijane stopy – wszak z braku obuwia od wczesnej wiosny aż do jesieni chodziłam „na bosa-ka”. Na przedwiośniu 1944 roku kupiliśmy wspólnie z inną polską rodziną krowę, która reagowała na imię „Miłka”. Jej kupienie było możliwe dzięki pieniądzom cioci Heli, które zarobiła szyciem przeróżnym rzeczy dla Rosjanek. Na-

zwiska współników od kupna krowy nie pamiętam, ale pamiętam zasady użytkowania tego pocziwego zwierzęcia. Otóż mieliśmy prawo do dwukrotnego udoju co drugi dzień. W dniu użytkowania mieliśmy obowiązek opiekowania się Miłką – czyli karmienia, pojenia, utrzymania czystości w obórce i czesania zgrzeblem. Miłka nie należała do krowich piękności, miała dużą głowę, zapadnięty kręgosłup i nisko zawieszona duże wymię ze skąpą zawartością bardzo smacznego mleka. Miała czerwono-brązowe umaszczenie i wielkie pocziwe krowie oczy. W tymże czasie dostaliśmy ze Zbysiem prezenty od mamy, a były to dwie kury. Brat, jako ten mniejszy i bardziej ode mnie przez los pokrzywdzony, otrzymał kurę większą, ładnie upierzoną i codziennie znoszącą jajko. Niestety moja była mała, miała nastroszone pióra, dziwaczny czub na głowie i za każdym razem po zniesieniu jajka zaczynała kwokanie. Zaprzyjaźnione osoby radziły, żeby kurę po rozpoczęciu kwokania moczyć w jeziorze – rzeczywiście po kąpielach przestawała kwokać. Zauważyłam, że po pewnym czasie moja kura zaczęła znikać na całe dni; od czasu do czasu pokazywała się tylko po to, żeby podziobać nieco paszy, przestała znosić jajka i kwokać. Okazało się później, że wysiadywała na jednym jajku, które zniosła w schowku pod piecem chlebowym. Po pewnym czasie wylęgło się jedno śliczne, żółte kurczątko. Pokochałam to malutkie pisklę, ale nie dane mu było długie życie. Zginęło pod naręczem drewna, które dziadzio zrzucił przy piecu na siedzące tam maleństwo, którego nie zauważył. Z powodu śmierci kurczątka cierpieliśmy obydwój z dziadziem. Zostało pochowane z należytym honorem w pobliżu „murowańca”. Jakie były dalsze losy naszych kurek nie pamiętam.

Latem, po wyczerpaniu się zapasu drewna, używaliśmy do palenia w piecu kuchennym „gawiaszy” czyli wyschniętych w słońcu bydlęcych odchodów, które miały kształt okrągłych suszonych placków, leżących na wyskubanej przez bydło stepowej trawie. Zaopatrywanie domu w ten opał było moim i Zbysia obowiązkiem. Chodziliśmy po stepie wypatrując „gawiaszy” i zbierając je do worków, które, a po napełnieniu dzwigaliśmy na plecach do „murowańca”. Latem opuszczała go mama pracując przy bydle na wypasach i Jańcia, która pracowała na „szyngalce” opiekując się jałówkami. Babcia i dziadzio zajęci byli w dzień pracami polowymi i na noc wracali do domu. Ciocia Hela prawdopodobnie odwiedzała swojego teścia i bratanka, którzy mieszkali w innej, daleko położonej wiosce.

Polskie dzieci, w wolnych od obowiązków i pracy chwilach, organizowały sobie różne przedziwne zabawy. Pamiętam przyjaciół z tamtych czasów, np. z rodziny Mikołajczaków Tadeusza, Gienę i Irkę, Dankę Kuzdębówną, Gienka Cymbora, Olka Strychalskiego, a także dzieci rosyjskie, które wraz z matkami zostały wysiedlone z Moskwy. Nasze ulubione zabawy to gry w klasy, w wspomniane już zbijanie kości, gry z kamykami, skakanie na skakance, chodzenie na szczudłach, gry z piłką np. w palanta lub w dwa ognie. Poza tym nauczyłam się od dzieci grać na drewnianym grzebieniu, wystukiwania rytmu na łyżkach a także przy pomocy specjalnie ułożonej dłoni. Bawiliśmy się w chowanego, w „berka” i dużo śpiewaliśmy. Do zadań dzieci należało wspomaganie rodzin w zaopatrywaniu w dary natury nadające się do jedzenia, a więc wykopywaliśmy cebulki tulipanów rosnące na stepie, zbieraliśmy liście szczawiu, lebiody i pokrzyw.

Step wiosną i latem był piękny. Pamiętam barwne wzgórza pokryte kwitnącymi roślinami i wijące się wydeptane ścieżki i wzdłuż nich niebiesko kwitnące

kosańce, tj. rośliny z rodziny kosańcowatych, tzw. „irysy syberyjskie”. Rosły tam dziko przeważnie wzdłuż wydeptanych stepowych ścieżek. Na ogół latem świeciło słońce na błękitnie nieba, ale bywało, że zrywał się wiatr, napędzał czarne deszczowe chmury i wybuchały groźne burze z piorunami i ulewnymi deszczami. Z końcem lata i początkiem jesieni rozpoczynały się przygotowywania do zimy. Dotyczyły głównie zaopatrzenia w żywność i opał. Pewnego razu zaistniała, taka sytuacja, że otrzymaliśmy zezwolenie na zaprzęg roboczego woła do transportu kilkunastu worków ziemniaków z Szyngalki, uprawianych przez ciocię Jańcę na małym poletku leśnej polany. Wspominałam już, że na Szyngalce odległej od Bieriozowej o kilkanaście kilometrów, w okresie lata trzymano sowchozowe młode jałówki, którymi opiekowały się polskie dziewczęta, a przy okazji każda z nich miała swoje ziemniaczane poletko. Mieszkały w drewnianej „izbuszce”, w tajdze i drżały ze strachu przed napaścią wałęsających się po lesie „bradiagów” – ludzi ukrywających się przed sowiecką władzą. Tak się złożyło, że w dniu, w którym otrzymaliśmy zezwolenie na wykorzystanie woła do przywiezienia ziemniaków, nikt z dorosłych z naszej rodziny nie otrzymał tzw. wychodnego i nie miał kto zająć się tą sprawą. Pomyślałam sobie, że kiedyś dziadzio nauczył mnie zakładać wołowi na kark jarzmo i zaprzęgać do wozu. Podjęłam decyzję, że pojedę po ziemniaki z towarzystwem zaprzyjaźnionych rówieśników. Wyprawa byłaby udana, gdyby w drodze powrotnej z Szyngalki wół nie odmówił posłuszeństwa. Miało się ku wieczorowi, gdy położył się na leśnej drodze i nie można go było zachęcić do powstania. Przesiedzieliśmy w lesie do świtu, po czym wół wstał i nagle ruszył w dalszą drogę. Na kilkanaście kilometrów przed Bieriozową spotkaliśmy dziadzia, a nieco dalej mamę. Obydwoje byli przerażeni na myśl, że mogliśmy zbłądzić w tajdze.

W wędrownkach po stepowych ścieżkach miałam wprawę. Już jako siedmiolatka z pięcioletnim Zbysiem chodziliśmy letnią porą przez step do mamy na wypasy i nigdy nie zbłądziliśmy. Byłam nieco starsza, mogłam mieć osiem lat, jak wędrowałam w towarzystwie Stasi Szydełko do Nowosiołowej na pędzlowanie dziąseł opanowanych przez skorbut. Pamiętam, że podziwialiśmy ze Stasią małe zwierzątka mieszkające w norkach umieszczonych przy wydeptanych przez wędrowców ścieżkach. Gdy poczuły idącego człowieka wychodziły z norek i stawały pionowo na tylnych łapkach przyglądając się wędrowcom, a potem szybko znikwały w swoich podziemnych mieszkaniach. Tubylcy nazywali te zwierzęta suslikami.

Chyba w 1945 r. zaczęły do zesłańców docierać pogłoski o możliwości powrotu do Ojczyzny. W serca wygnańców wstępowała nadzieja, a później gaśła, gdy nic się nie działo. Mama coraz bardziej traciła zdrowie i siły. Noga coraz mocniej bolała, ale w jej sercu trwała nadzieja, że jak wrócimy do Ojczyzny to na pewno wyleczy się i że być może odnajdzie się nasz tato i do nas wróci, a wtedy wszystko zmieni się na lepsze. Od 1945 r. staraniem Związku Patriotów Polskich czasami przychodziły dla nas jakieś zapomogi, które nie zawsze były sprawiedliwie przyznawane i dzielone. Takie opinie nieraz słyszałam z ust dorosłych osób a także od mamy.

Po wyprowadzeniu się rodziny Szydełków z Bieriozowej na Kargałyk zaprzyjaźniłam się z Danką Kuzdębówną oraz bardzo blisko z Irką i Gieną Mikołajczak. Mama dziewcząt miała odmrożone nogi, na których otwierały się rany. Z powodu bolących nóg i innych dolegliwości bardzo cierpiała – podobnie

jak moja mama. Pochodziła ona z zamożnej rodziny, nie była przyzwyczajana do pracy fizycznej, nie radziła sobie w okrutnej syberyjskiej rzeczywistości.

Jesienią 1945 r. perspektywa powrotu do Ojczyzny stawała się coraz bardziej realna. Polacy rozpoczęli starania o odpowiednie dokumenty. Suszono chleb na czas podróży i łatano postrzępione ubrania. Nasza Miłka poszła na ubój, a Kicię podarowałam dieciu Wasi – przyjacielowi naszego dziadzia. Jednak kotek wracał do nas, a ja nabierałam coraz większego przekonania, że powinnam go zabrać do Polski. W końcu mama wytłumaczyła mi, że kicia tak dalekiej podróży nie zniosłaby. Dieć Wasia często odwiedzał dziadzia Antoniego. Obaj lubili dyskutować i politykować pomimo różnicy poglądów. Często kłócili się i dziadzio nieraz wykrzykiwał „ten bolszewik nic nie rozumie” a babcia truchlała z obawy, że przez nieostrożność dziadzia zamiast do Polski mogą nas zawieźć „na białe niedźwiedzie”.

Zima 45/46 r. była bardzo mroźna, napadało dużo śniegu, który trzeba było często odgarniać od okien i drzwi wejściowych. Zdarzało się, że ludzie mający odwagę wędrować w czasie tej srogiej zimy po stepowych bezdrożach zamierzali w czasie chwilowego odpoczynku. Wreszcie nadszedł dzień naszego powrotu do Polski. Wyjeżdżaliśmy saniami podczepionymi do traktorów. Wszystko wskazuje, że to było wczesne przedwiośnie 1946 r. Na saniach umieszczono dzieci, osoby chore, osoby w podeszłym wieku i nędzne tłumoki z pościelą i zapasami żywności, a ludzie zdrowi szli pieszo. Daleko za wioskę odprowadziła nas duża grupa rodowitych Sybiraków. Widać było smutek na ich twarzach, widocznie polubili nas „polaczków”. Niektórzy z nich śpiewali pożegnalne piosenki i mieli w oczach łzy. Nie pamiętam, jak długa była nasza podróż do miasta o nazwie Użur, ale zapamiętałam, że była trudna zwłaszcza dla mamy. Jako osoba chora jechała na saniach, ale przez cały czas upierała się, że pójdzie pieszo, nie chciała żadnych szczególnych względów. W końcu postawiła na swoim, zesza z sań i powędrowała obok nich początkowo dzielnie, choć mocno kulejąc. Potem przyszedł moment osłabienia i upadła, ale podniosła się i próbowała iść dalej i znów upadła. Patrzyłam na ten wysiłek z bólem i przerażeniem. Osoby, które szły obok mamy podniosły ją i nie pozwoliły w dalszej drodze schodzić z sań.

Po upływie 65 lat od tamtych wydarzeń widzę kochaną twarz mojej mamy, wielkie cierpienie i łzy, a potem nocleg w Białym Jarze, w mieszkaniu starej samotnej Rosjanki o wspałym sercu. Odstąpiła nam swoje łóżko, na którym leżała mama, nieprzytomna, rozpalona wysoką gorączką i wydająca jęki trapiącego ją bólu. Jeszcze dzisiaj czuję tę rozpacz i wielki niepokój i jak groźny złodziej zakradającą się myśl, że możemy mamę stracić. Widzę płaczącego i tulącego się do niej, chudego jak trzcinka mojego brata i krzątającą się przy mamie dobrą, czułą rosyjską kobietę, która starała się uśmierzyć jej ból. Przebiegu dalszej podróży do miasta Użur nie pamiętam. Pozostali podróżni nocowali z Białym Jarze w budynku cerkwi zamienionej przez bolszewików w magazyn. W Użurze skończyła się nasza, podróż saniami. W Użurze na czas oczekiwania na sformowanie transportu kolejowego, zakwaterowano nas w prywatnych mieszkaniach. Przypominam sobie, że nasza rodzina stacjonowała w ciepłym i jasnym mieszkaniu jakiejś polskiej rodziny, której losy związane były z Syberią. Użur, który poznawałam w czasie krótkiego pobytu, był zabudowany drewnianymi domami i otoczony lasem. Wzdłuż budynków biegły ułożone

z grubych desek chodniki, po których biegaliśmy z bratem z wielką przyjemnością. Mama poczuła się trochę lepiej – myślę, że dzięki różnym uzdrowicielskim zabiegom kobiet, u których mieszkaliśmy przez te parę dni.

Jak przez mgłę widzę we wspomnieniach długi wąż towarowych wagonów stojących na boczniczy jakiegoś dworca ukrytego w leśnej gęstwinie. Dalsza podróż do Polski odbywała się w podobnych warunkach, a może nawet gorszych od tych, w jakich wieziono nas na zesłanie. Jechaliśmy bardzo długo, czasami były dłuższe postoje na stacjach większych miast. Ludzie wówczas wyskakiwali z wagonów, biegli po wodę do pomp i załatwiali swoje ludzkie potrzeby, a potem szybko wracali do wagonów w obawie, że pociąg może niespodziewanie ruszyć. Taka sytuacja dla spóźnionych osób mogła by okazać się tragiczna. W czasie jazdy ludzie wspólnie odmawiali modlitwy, najczęściej litanię do Matki Bożej Loretańskiej, śpiewali pieśni religijne prosząc Pana Boga o szczęśliwy powrót do Ojczyzny. Nie znam trasy naszej podróży do Polski, ale bardzo dobrze pamiętam dość długi postój pociągu na stacji w jakiejś miejscowości i transport jeńców niemieckich jadący w przeciwnym kierunku do naszego. W wagonach bez dachu tak zwanych „lorkach” widziałam gęsto upchanych wynędzniałych mężczyzn. Pociąg na chwilę zatrzymał się, a ci niemieccy żołnierze, wzięci przez Rosjan do niewoli wyciągali do nas ręce i wołali: chleba! Byłam świadoma, że Niemcy wywołali wojnę w przymierzu z Rosją, ale zrobiło mi się żal tych ludzi i poprosiłam mamę, żeby dała im choć trochę naszych sucharów, których zapas mieliśmy już na wyczerpaniu. Mama powiedziała: „dziecko, a jak my im podamy te suchary? – popatrz ilu ich znajduje się na tej platformie”.

Następny dłuższy postój naszego pociągu mieliśmy już za dawną granicą, czyli w przedwojennej Polsce. Mama czuła się trochę lepiej, była radosna, żywiona nadzieją, że w Ojczyźnie odzyska zdrowie. Gdy przejechaliśmy dawny pas graniczny mama chwyciła swoje połatane z wszytymi od wewnątrz kieszeniami na butelki z mlekiem spodnie „waciaki” i wyrzuciła przez okno pędzącego wagonu wołając: „Niech żyje wolna i niepodległa Polska”! „Waciaki” pofrunęły z wiatrem – a szkoda, bo dzisiaj byłyby wspaniałym muzealnym rekwizytem. W czasie wspomnianego już dłuższego postoju na stacji dawnego kresowego miasta ludzie powychodzili z wagonów udając się w stronę miasta. Panowała piękna, ciepła słoneczna pogoda. Usłyszałam przypadkiem rozmowę kobiet, że blisko stacji kolejowej znajduje się kościół. Jak mglisty sen przypominam sobie, że kiedyś byłam w kościele w Denysowie z mamą i ciociami ubrana w krakowski strój. Kościół i niedziela kojarzyły mi się zawsze ze wspomnieniem, że w sobotę było czyszczenie obuwia „na glanc” całej rodziny, a wykonawcą tej powinności był tato. Na wiadomość o kościele pobiegliśmy z bratem za ludźmi zmierzającymi w kierunku kościoła. Jeszcze dzisiaj czuję moc tych wspomnianych wrażeń doznanych po przekroczeniu progu świątyni. Zachwytiło mnie jej wnętrze, ale najbardziej muzyka organowa i kobiecy śpiew „Ave Maryja”

Pamiętam, że przyjazd przez obszar naszych dawnych ziem polskich przypadł na czas przedświąteczny i poświąteczny Świąt Wielkanocnych. Na postojach w różnych stacjach kolejowych witali nas Polacy – Kresowiaczy. Przynosili jedzenie, ubrania i byli bardzo serdeczni. Zachwycał mnie wygląd i sposób bycia tych ludzi. Byli elegancko ubrani, bardzo kulturalni i sympatycz-

ni. Po stronie polskiej nie odczuwaliśmy już głodu, ponieważ oprócz pomocy żywnościowej ze strony rodaków otrzymywaliśmy żywność z PUR- u (Państwowy Urząd Repatriacyjny) w postaci konserw rybnych, żółtych serów, puszek z fasolą i innych produktów. Niestety dopadły nas inne dolegliwości. Stan zdrowia mamy pogarszał się z dnia na dzień, Babcię nękała malaria, a ja miałam początki tyfusu plamistego i brzuszego jednocześnie, o czym nikt nawet by nie pomyślał. Bez skargi znosiłam takie dolegliwości, jak nieustający ból głowy, uczucie chaosu i wielkiego osłabienia.

Ludzie mówili, że nas wiozą na zachód na Ziemię Odzyskane aż do Szczecina. Tak się stało. Do Szczecina z całej naszej rodziny dojechali tylko babcia, dziadzio i ciocia Jańcia. Natomiast my – mama, Zbysio i ja odłączyliśmy się od transportu w Poznaniu i udaliśmy się w dalszą podróż do Bochni, w rodzinne strony naszej matuli. Nie pamiętam kiedy i gdzie odłączyła się od nas ciocia Hela i pojechała do Przeworska, do rodziny wujka Władka. Po naszą trójkę przyjechał do Poznania krewny mamy – wujek Władek.

Tuż przed wyjazdem do Bochni zapamiętałam bardzo smutną sytuację, której byłam świadkiem, gdy stałam na peronie poznańskiego dworca. Z wagonu, w którym ulokowana była rodzina Mikołajczaków, wyniesiono na noszach ciało przykryte białym prześcieradłem. Mówiono, że zmarła pani Mikołajczakowa na skutek gangreny, która wywiązała się na odmrożonych nogach. Nie dojechała do rodzinnego miasta Gniezna, a była już tak blisko. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie były dalsze losy jej dzieci, a moich przyjaciół z wygnańczego dzieciństwa.